

W numerze: JADWIGA ŁUŻYŃSKA - DOROBOWA **Polityka kulturalna PPR** ● KAROL BADZIAK **Raportu z Berlina nie będzie** ● TADEUSZ SZEWEBA **In vino feritas** ● **Jak upolować kota?** ● **Seks i sznurowadła** ● **Zewsząd o wszystkim** ● **Recenzje** ● **Felietony** ● **Nowela**

ODGŁOSY



10 (746)
5. III. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



Na zdjęciu:
JERZY
MICHALSKI
W HIMALAJACH
NA
WYSOKOŚCI
PONAD
6 000 m

Patrz
PREZENTACJE
Str. 5

KSZTAŁT DZISIEJSZY, KSZTAŁT JUTRZEJSZY

Nadchodzące lata przyniosą Łodzi wiele zmian. Zmieni się przede wszystkim struktura urbanistyczna miasta, unowocześni stan zabudowy i dróg komunikacyjnych, polepszy charakter usług komunalnych. Suma 35 miliardów złotych, którą Łódź ma wydać w bieżącym pięcioleciu, znacznie urealnia przyspieszenie tych długo oczekiwanych zmian także w Śródmieściu, którego zaniedbanie jest dla wszystkich ewidentne. Wygląd Śródmieścia i jego poziom urbanistyczny jest przecież wizytówką całego miasta. O urbanistyce i architekturze Śródmieścia oraz o najbliższych perspektywach rozwojowych tej dzielnicy rozmawiamy z Z-cą Przewodniczącą DRN Łódź-Śródmieście, mgr inż. arch. STANISŁAWEM ŻALOBNYM.

„ODGŁOSY”: Śródmieście Łodzi to najstarsza dzielnica wielkiego miasta, jaka ukształtowała się w końcu ubiegłego i na początku naszego wieku, dzielnica, która w układzie ulic i zabudowie architektonicznej ulegała zwłaszcza w ostatnich dwudziestu kilku latach tylko nieznacznym, mało zauważalnym zmianom. Czy zatem zastana sytuacja nie ogranicza dynamiki modernizacji urbanistycznej Śródmieścia?

MGR INŻ. S. ŻALOBYN: W pewnym sensie tak, ale nie to stało się przyczyną zwłoki w utworzeniu nowoczesnego organizmu miejskiego w Śródmieściu. Choć

plan ogólny kierunków modernizacji Łodzi powstał już w 1961 roku, to jednak niewiele można było od tego czasu przedsięwziąć z uwagi na wielość stale zmieniających się koncepcji urbanistycznych w obrębie Śródmieścia. Brak stabilności określonych koncepcji doprowadził do stanu obecnego, który może budzić istotnie cały szereg zastrzeżeń co do możliwości szybkiego unowocześnienia centralnej dzielnicy Łodzi w jej strukturze urbanistycznej.

„ODGŁOSY”: Od kilku jednak lat widzimy, że jest w Śródmieściu kilka miejsc, gdzie coś się w kierunku nowoczesności zmienia, choć

są to zmiany jeszcze skromne, nieśmiałe i jakby wzajemnie od siebie izolowane...

MGR INŻ. S. ŻALOBYN: Istotnie, takie zaczęte przed laty i nie zakończone do dziś realizacje, jak przebudowa ul. Głównej, okolic Dworca Fabrycznego, ul. Zachodniej itp., gdzie drażnią puste place po wyburzonych domach, odsłonięte rudery i okaleczone ściany nie stanowią ciekawych widoków. Ale są to etapy nieuniknione dla umożliwienia przyszłej realizacji architektonicznych. Zresztą budujące się strzeliste biurowce przy ul. Głównej oraz Textilimpexu i wylaniający się z fundamentów gmach hotelu w pobliżu Dworca Fabrycznego, są już pierwszymi symptomami nadchodzących w kształcie Śródmieścia zmian. Obecnie chcemy się skoncentrować na tych dwóch punktach mapy Śródmieścia i konsekwentnie realizować tam nowoczesny model urba-

Dalszy ciąg na str. 3



ROZPOCZĄŁ SIĘ ostatni etap kampanii wyborczej do Sejmu VI kadencji — etap spotkań kandydatów Frontu Jedności Narodu z wyborcami. Zainaugurowało go SPOTKANIE EDWARDA GIERKA W KATOWICACH. W wygłoszonym z tej okazji przemówieniu I sekretarz KC PZPR poświęcił wiele uwagi także międzynarodowej pozycji Polski i niektórym najaktualniejszym problemom współczesnego świata.

— Polska — podkreślił kandydat na posta z okręgu sosnowieckiego — ma swój udział w tym, że Europa osiągnęła najdłuższy w swej historii okres pokoju. Ostatnie, a faktycznie jedynie państwo, które kwestionowało powojenne granice, a zwłaszcza granicę na Odrze i Nysie — Niemiecka Republika Federalna — uznano je w układach moskiewskim i warszawskim.

Wyrażając przekonanie, że układy te zostaną przez NRF ratyfikowane — Edward Gierek stwierdził: „Leży to... nie w jednostronnym interesie socjalistycznych sygnatariuszy układów, lecz w większym jeszcze stopniu w wielostronnym, żywotnym interesie wszystkich narodów i państw Europy, w tym również Niemieckiej Republiki Federalnej. Jesteśmy przekonani, że wbrew oporowi sił odwrotnych proces normalizacji stosunków w Europie Środkowej zostanie pomyślnie przeprowadzony do końca...”

Słowa te, wypowiedziane w chwili, kiedy w Bundestagu odbyło się pierwsze czytanie układów, mają walor największej aktualności.

I sekretarz Komitetu Centralnego nawiązał następnie do idei zwolnienia europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy i podkreślił, że niedawna praska narada przedstawiła szeroki i konstruktywny jej program. „Deklaracja praska — powiedział — daje zarządy europejskiej karty pokoju, bezpieczeństwa i współpracy”. Już obecnie można przystąpić do wielostronnych przygotowań konferencji. Mogłaby ona odbyć się jeszcze w bieżącym roku.

W międzynarodowej części swego przemówienia Edward Gierek podjął jeszcze jeden aktualny problem — polityki Chin.

Kierownictwo tego kraju odeszło od zasad marksizmu-leninizmu i zastąpiło je maoistowską ideologią, której istotę stanowi nacjonalizm i wielkomocarstwowy szowinizm. W rezultacie Chiny obracają się przeciwko swym naturalnym sojusznikom — krajom socjalistycznym. Ten rozłamowy kurs godzi również w żywotne interesy Polski.

I sekretarz wyraził nadzieję, że — „narod chiński, chiński komunizm znajdują w sobie dość sił, aby odrzucić niebezpieczny maoistowski kurs i przywrócić socjalistyczne zasady w polityce swojego państwa”.

Wszystkie z podjętych w katowickim spotkaniu problemów mają swoje odbicie w wydarzeniach minionego tygodnia. Omówimy dwa — dalszy etap procesu ratyfikacyjnego układów w NRF oraz chińską podróż prez. Nixona.

TRZYDNIOWA DEBATA W BUNDESTAGU zasługuje na uwagę głównie dlatego, że była ostrym zdaniem polityki rządu Brandta z opozycją. Kanclerz oraz jego rząd przedstawiają układy jako podstawę odprężenia stosunków ze Wschodem i w całej Europie. „Musimy wychodzić z realium — podkreślił w swoim sprawozdaniu: „O sytuacji narodu” W. Brandt — takich, jakimi są, jeśli chcemy na nie wpływać”. „Dzisiaj możemy jeszcze należeć do pionierów nowej polityki, jutro zaś moglibyśmy w najlepszym razie być zaliczeni do maruderów”.

Również W. Mischnik — w imieniu frakcji parlamentarnej FDP — bronił układów. „Kto dzisiaj nie chce układu z Polską Rzeczpospolitą Ludową zastrza istniejące fronty, cementuje bloki dzielące Europę i przeszkadza łączeniu rodzin” — powiedział.

Opozycja tymczasem ciągle zgłasza dalsze zastrzeżenia oraz żąda uznania EWG przez ZSRR, kluczy i wysuwa wciąż nowe uwagi. Nie może ona przeciwstawić się aprobie dla układów, danej ze strony wielkich mocarstw, wprowadza więc dyskusję na tory bardzo szczegółowych rozważań.

Przebieg dotychczasowej debaty nie daje podstaw do przypuszczeń, że na tym etapie rząd mógłby przeciągnąć na swoją stronę któregoś z deputowanych opozycji, ale to przecież dopiero początek finalnej części batalii.

Równolegle z zainteresowaniem debatą bońską komentatorzy całego świata śledzili z uwagą PEKINSKIE ROZMOWY PREZ. NIXONA. Na bilans tej wizyty jeszcze zbyt wczesne. Uplywała ona pod znakiem licznych rozmów (w sumie 13 godzin negocjacji) o przebiegu których oczywiście nie informowano, publikując tylko wspólny komunikat. Ale miała także kardynalną oprawę zewnętrzną. Bezpośrednimi rozmowami zainteresowani byli w równym stopniu Nixon, co i kierujący w Chinach tandem: MAO — Czou En-laj. Z tym jednak, że Chińczycy nie mogli pojechać do Waszyngtonu z uwagi na obecność w tym mieście oficjalnych przedstawicieli Czang Kai-szeka. Przyjeżdżając do Pekinu, nie bacząc na oficjalnie dotąd krzewioną wrogość wobec amerykańskiego imperializmu i trwającą interwencję USA w Wietnamie.

„Wszystkie te fakty — zauważa „France-Nouvelle” — usprawiedliwiają niepokój, jaki wśród przyjaciół narodu chińskiego budzi podróż Nixona do Pekinu, spotkanie imperializmu amerykańskiego z nacjonalizmem maoistowskim”.

Kto ze spotkań tych odniesie największą korzyść? To wydaje się oczywiste — Nixon, który już dziś może chętnie się swego inicjatywą wobec amerykańskich wyborców i którego szansę w walce z kandydatem partii demokratycznej wyraźnie się zwiększyły.

W. ŚLAWSKI

P.S. Jak przewidzieliśmy, jednopartyjny rząd włoski nie uzyskał wotum zaufania parlamentu. A więc we Włoszech wkrótce — chyba w maju — odbędą się wybory powszechne.

Zawszgd o wszystkim

Makao - dziwna enklawa

„GUARDIAN” — LONDYN

Najmniejsza z zamorskich enklaw Portugalii — Makao, przyciąga ostatnio o wiele większą uwagę opinii światowej, niż w okresie „rewolucji kulturalnej”, kiedy to miejscowi maoiści okleiali „rewolucyjnymi” hasłami fasady domów.

Trzy lata po zakończeniu „rewolucji kulturalnej” Makao przeżywa boom ekonomiczny, wprost niewiarygodny, jak na tak małe terytorium. Ekonomiczny rozwój Makao bazuje na tradycyjnych i częściowo nielegalnych źródłach dochodu: grach hazardowych, ruchu turystów, pragnących zaspokoić swe finezyjne smaczki, handlu narkotykami i handlu złotem, niezbyt teraz korzystnym ze względu na międzynarodowy kryzys walutowy itp. Duże dochody przynosi także przemysł lekki, oparty na wykorzystaniu taniej siły roboczej uchodźców. Pewna kompania lotnicza z Hongkongu planuje uruchomienie stałej komunikacji pasażerskiej z Makao przy pomocy śmigłowców, gdyż tej małej enklawy nie starczy ziemi... na lotnisko.

„Maoiści prowadzą tutaj specjalną grę — powiedział mi miejscowy obserwator polityczny. — Makao jest takim miejscem na świecie, w którym można robić wszystko, czego tylko dusza zapagnie”. Jeszcze rok temu Portugalczycy chronili się w swoich koszarach i jednorodzinnych willach. Dziś znów manifestują swą obecność.

Portugalczycy urzędnicy i ich chińskie kochanki spędzają czas w miejscowych restauracjach, jedzą ryby, zapinając je portugalskim winem. Dwa tysiące żołnierzy portugalskich rozkoszuje się ultranowoczesną muzyką w nocnych lokalach i monopolizuje dwie miejscowe plaże.

Chyba najbardziej jaskrawym przykładem rozkwitu Makao jest jego niesłychanie pretensjonalny nowy hotel „Lizbona”. Hotel proponuje gry hazardowe, wino, wybujały seks, klimatyzację w niezliczonych salo-

nach, w których odbywają się przeróżne „gry i zabawy”, kapele, masaże i sauny, a nawet zabawy dla dzieci na czas, gdy ich rodzice hazardują się przy ruletkach.

Częstokroć hotel „Lizbona” wywiera oszalamiające wrażenie. „Idee Mao Tse-tunga są bardzo dobre” powiedział mi numerowy. Później plótł chwile o nieuchronności rewolucji światowej i tak zakończył: „A jaką chce pan mieć dziewczynkę? W Makao można mieć wszystko...”

Dlaczego Chiny pozwalają Portugalii, mającej jeden z najbardziej reakcyjnych rządów w Europie, na posiadanie tej enklawy u ujścia rzeki Si-ciang?

Tajemnica rozkwitu Makao kryje się w tolerancji Chin wobec Portugalii. Ruchem ekonomicznym wskazuje, że Chiny ciągną określone korzyści z ekstrawaganckiego, ale i nikczemnego kolonializmu, któremu zezwala się funkcjonować w Makao. Chodzi tu o ogromne dochody, przede wszystkim z gier hazardowych, ale także i o to, iż Makao podobnie jak Hongkong, jest dogodnym punktem prowadzenia obserwacji świata zewnętrznego, jak również kanałem, przez który łatwo do niego przeniknąć.

„Nawet podczas wysokiej temperatury „rewolucji kulturalnej” — wyjaśniał pewien Europejczyk zamieszkały w Makao — Chińczycy nie zrobili pół kroku w kierunku odzyskania Makao. Byliby niepokieszeni, gdyby Portugalczycy stąd odeszli”.

W razie konieczności ludność portugalska zostałaby z pewnością szybko przetrzebiona z enklawy do Hongkongu. Opracowano taki plan ewakuacji Portugalczyców z Makao w przeciągu 24 godzin. Ale teraz nikt nawet nie myśli, żeby w najbliższych latach taki dzień mógł nastąpić, jeżeli w ogóle kiedykolwiek nastąpi. Chińska odmiana rewizjonizmu istniała już na długo przed tym, nim Czou En-laj zaprosił prezydenta Nixona do Pekinu.

Komu grozi zawał

„FORTUNE” — NOWY JORK

XX wiek, wiek burzliwego postępu techniki i gwałtownego wzrostu tempa życia, obciążają system nerwowy współczesnego człowieka, co w konsekwencji powoduje masowe schorzenia serca i choroby psychiczne.

Amerykańscy uczeni — Freedman i Rosenmann na przestrzeni ostatnich 17 lat zebrali bogaty materiał naukowy, świadczący, iż stress jest jedną z głównych przyczyn zawałów serca wśród Amerykanów w średnim wieku i że główną rolę w tej chorobie odgrywają indywidualne cechy charakteru.

Do 1955 roku obaj badacze wykonywali praktykę lekarską w zakresie radiologii, studiując standardowe „czynnik ryzyka”: zawartość cholesterolu we krwi, palenie tytoniu, ciśnienie krwi i otyłość. Badając reakcję stressową, doszli oni do wniosku, że wszystkich ludzi można podzielić na dwa podstawowe typy, które oznaczyli jako typ A i typ B.

Typ A, skłonny do zawa-

połtrawy, nim je spróbuje. Siedząc za kierownicą auta, typ A nie lekceważy przepisów drogowych, ale wpada w rozdrażnienie, gdy musi zmniejszyć szybkość. Typ A nie lubi zajęć fizycznych, mówi, że nie ma na to czasu. Wychodząc z gabinetu po skończonym dniu pracy uprząta z biurka wszystkie papiery.

W walce o kierownicze stanowiska w miejscach pracy, typ A często przegrywa z typem B, przegrywa wskutek swej niezwyklej rzetelności: jest tak dalece zaangażowany pracą, że nie obchodzi go nic poza nią, nawet rodzina. Podejmuje decyzje bardzo szybko — nie w ciągu dni, lecz w ciągu minut — i dlatego popełnia nieraz poważne błędy. Typ A często tworzy wokół siebie „sfery” niechęci, które denerwująco wpływają na otoczenie.

Typ B mało różni się od typu A w predyspozycjach do zdobywania wiedzy, nie jest mniej utalentowany. Jest mniej agresywny, ale bardziej rozsądny. W odróżnieniu od typu A, trudno go wyprowadzić z równowagi.

W ogólnym obrazie typu A smutne jest to, że ma on więcej szans na zawał w średnim wieku, niż typ B. Oto, co mówi Rosenmann o typie A: „Typ ten jest już sam w sobie chorobą, choć jeszcze nie uznana”.

W wyniku długoletnich obserwacji i badań stwierdzono, iż na wieńcowe schorzenia serca i zawały zapałają o 70 proc. więcej mężczyzn (w średnim wieku) typu A, niż typu B.

Carbonne - wampir Haiti

„L'EXPRESS” — PARYŻ

W Port-au-Prince wampiry noszą białe ubrania. Czterech lekarzy i dwanaście sanitariuszek odbiera krew nędzaczom i sprzedaje ją bogatym. Błogosławi tym praktykom opiekun przesławnych „tontons macoutes”, jego ekscelencja minister spraw wewnętrznych Republiki Haiti.

Carbonne — to jego nazwisko, Luckner — to jego imię. Jest akcjonariuszem Air-Haiti, akcjonariuszem agencji turystycznej, kompanii transportu kolejowego, towarzystwa eksportu nafty, owoców i suszonych ryb itd. itd. Dziś kontroluje on również nowo powstałą kompanię amerykańsko-haitańską „Hemo-Caribes”, firmę eksportującą plazmę krwi.

Ten intratny proceder prowadzi już od ośmiu miesięcy agent nowojorskiego Biura Wymiany, Joseph B. Gorinstein, dla potrzeb trzech znanych amerykańskich kompanii farmaceutycznych: Armour Pharmaceutical, Laboratoires Cutter i Down Chemical.

Roczne żniwo: 6.000 ton plazmy krwi; dochód netto: 5.000 dolarów od tony.

„Przedsiębiorstwo” zajmuje dwa piętra w domu przy cuchnącej ulicy des Remparts w Port-au-Prince, a kieruje nim austriacki biochemik, Werner A. Thil. Przesz sześć dni każdego tygodnia, w godzinach od 6,30

do 22, 350 wynędzniałych bezrobotnych, w lachmanach i boso, tworzy długi ogonek przed drzwiami z napisem: Dawcy krwi...”

„Dawcy” — cyniczna ironia. „Szczęśliwi wybrańcy losu”, w zamian za litr krwi otrzymują 3 dolary. Szesnaście laborantek oddziela z niej osocze, plyn o kolorze bursztynowym, zawierające proteiny, sole mineralne, globuliny, antycyala. W ten sposób haitańscy nędzarze mogą zarobić 12 dolarów miesięcznie, 144 dolary rocznie. Jest to prawdziwa fortuna, suma dwukrotnie większa, niż średni roczny dochód na Haiti — 75 dolarów na głowę ludności. Jeden z najbiedniejszych w świecie.

Zamrożoną plazmę krwi nędzarczy z Port-au-Prince eksportuje się do Stanów Zjednoczonych samolotami linii Air-Haiti (akcjonariusz Luckner Carbonne). Tym, którzy potępiają ten „handel”, pan Thil odpowiada: „Jeśliby haitańscy nie handlowali swoją krwią, to co by mogli robić innego?”

Działalność amerykańskich „macherów na Haiti wywołuje oburzenie nawet w Stanach Zjednoczonych. Konsultant Centrum Dawców Krwi w Nowym Jorku powiedział, iż pobieranie krwi od chronicznie niedożywianych ludzi jest przestępstwem.

SOZ uderza na alarm

„TIME” — NOWY JORK

Przez całe stulecia, kiedy i dokąd by człowiek nie wyruszał, zawsze towarzyszył mu jego groźny wróg — szczer. Zmyslny, zwinny i zuchwały, podróżował z Marco Polo, pływał na statkach Magellana, przedstawiał się na statki handlowe. I, podobnie jak każdy podróżnik zmęczony długim przebywaniem na morzu, spieszył na brzeg, gdy tylko statek zawijał do portu.

Broniąc się przed tym szkodliwym gryzoniem, nasi przodkowie uciekali się do pomocy kota, później ludzkość próbowała się uwolnić od szczerów przy pomocy strychniny.

W 1947 roku człowiek dostał do rąk bardziej już nowoczesną broń do walki ze szczurami: antykoagulant, o nazwie warfaryna. W niewielkich dawkach nie był groźny dla większych zwierząt, ale szczerzy ginęły po pięciu dniach niezawodnie.

Przez 25 lat człowiek czuł się całkowicie bezpieczny. Wydawało się, iż szczerzy zniknęły raz na zawsze. Niedawno jednak pracownicy brytyjskich organów służby zdrowia stwierdzili, że w Wells tak zwane szczerzy brązowe, lub inaczej — „domowe” oraz czarne „okrętowe”, gnieżdżące się w dokach Liver-

poolu, zjadają warfarynę z taką przyjemnością, jakby to była wysmienita zakąska, przygotowana przez najlepszego kucharza. Odkrycie to dało uczonym podstawę do wyciągnięcia wniosku, iż pojawiła się nowa odmiana szczerów, odporna na działanie tej trucizny. Zgodnie z duchem czasu, tej nowej odmianie gryzonia nadano nazwę superszczur.

Specjaliści ludzili się nadzieją, że superszczerzy bytują tylko w Anglii. Niestety, z biuletynu Światowej Organizacji Zdrowia wynika, iż nowa odmiana szczerów rozprzestrzeniła się w Holandii, Danii, Zachodnich Niemczech i USA. SOZ uderzyła na alarm: „Świat stoi w obliczu groźnego niebezpieczeństwa”.

Wskutek plag szczerów ludzkość traci rocznie około 33 milionów ton zboża, szczerzy wyjadają jajka ptactwa domowego, zagryzają jagnięta.

Jak walczyć z tym niebezpiecznym gryzoniem? Na razie sięgnięto po trucizny używane wcześniej. Ale szczerzy okazały się mądrzejsze od człowieka: najpierw tylko jeden szczer próbuje przynęty i jeśli zginie po pewnym czasie, pozostałe już się do niej nawet nie zbliżają.

Dalszy ciąg ze str. 1

nistyczny. Są jednak stale widoczne zaległości z poprzednich lat. Jest faktem, że od czasu wyburzenia północnej strony ul. Głównej minęło już kilka lat, a nie skorzystała na tym, ani szerokość jezdni, ani też szybkość wznoszonej po tej stronie nowej zabudowy. Realizacja wznoszonych tu biurowców również uległa opóźnieniu z winy inwestorów i wykonawców. To dezerwuje wszystkich łodzian. Rzecz jednak w tym, że obecny plan przebudowy Centrum, opracowany w „Miastoprojekcie” nie jest skonkretyzowany urbanistycznie, natomiast sprawa architektury znajduje się jeszcze w pomysłach. Najbardziej więc palącą tu sprawą jest stworzenie możliwie najszybciej projektów budowlanych konkretnych obiektów nowego Centrum. Myślę tu o gmachu dla Filharmonii, wielkiego domu kultury, centralnego domu towarowego, a także pawilonów gastronomicznych i handlowych, które staną przy Głównej i Sienkiewicza. Potrzeba tu jednak szybszej inicjatywy i decyzji inwestorów. Na razie rozpoczęła tu działać żywiej spółdzielczość mieszkaniowa.

ODGŁOSY: Właśnie. Jak wygląda sprawa Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej?

MGR INŻ. S. ŻALOBNY: SDM, na którą czeka wielu łodzian, znajduje się już w trakcie realizacji na osi wschód-zachód, na zapleczu południowej strony ulicy Głównej. Za dwa lata powinni się tu wprowadzić już pierwsi lokatorzy. Są tu jednak pewne kłopoty, ponieważ prawidłowemu usytuowaniu dwóch budynków mieszkalnych stoi na przeszkodzie popularny „Adaś” przy ul. Piotrkowskiej, który jest przecież domem nowym i nie może być przewidziany do wyburzenia. Stąd też jeden z wieżowców mieszkalnych będzie stał zbyt blisko „Adasia” i, niestety, pogorszy naświetlenie tego domu. Na przykładzie „Adasia” widzimy, jak mści się w stosunkowo krótkim czasie brak szerszej koncepcji urbanistycznej i okazjonalne „łatanie” substancji budowlanej. Nie chcemy, aby takie błędy powtórzyły się w latach przyszłych.

ODGŁOSY: A „Domus”, „Magda”, „Balaton” — czy nie było to marnotrawienie działek śródmiejskich w sposób nazbyt rozrzutny? Wydaje się, że w tych miejscach można było wzniesić znacznie więk-

sze budynki, które bardziej ekonomicznie wykorzystająby wolne place w centrum Łodzi.

MGR INŻ. S. ŻALOBNY: Oczywiście. Nie były to posunięcia najszybsze, spowodowane jednak zostały względami ekonomicznymi. Stały puste place w centrum, a skoro znaleźli się inwestorzy, którzy zechcieli je zagospodarować na cele tak potrzebne, jak handel i gastronomia więc je zabudowali. I choć wielkość i wartości uży-

tej z okresu rozwijającego się kapitalizmu będziemy burzyć, aby uzyskać miejsce pod nowe budynki, to współczesne realizacje urbanistyczne. Nie możemy przecież wkraczać w XXI wiek z balastem najgorszej zabudowy XIX wieku — czynszowymi oficynami, ciasnymi podwórkami i różnego rodzaju przybudówkami i komórkami. Dlatego też powołany przy naszym Prezydium DRN powiększony Zespół Urbanistyczny rozpracowuje na bieżąco obecny stan zabudowy,

„ODGŁOSY”: A co z drugim wąskim gardłem — komunikacją?

MGR INŻ. S. ŻALOBNY: Tu też czekają nas dalsze wyburzenia. Parzysta strona Zachodniej, która wkrótce na całej długości będzie posiadała dwie jezdnie — już nie istnieje. To samo czeka ul. Narutowicza po stronie nieparzystej na odcinku Sienkiewicza — Kościuszki oraz fragment zabudowy ul. Zwirki, aby umożliwić przebieganie na południu alei Kościuszki. To sa-

dowania w Łodzi metra. W perspektywie bliższa i realniejsza jest oczywiście pierwsza sprawa. Realizacja tych przedsięwzięć znacznie odciążałaby wzmożony ruch kołowy i pieszy poprzez Śródmieście. Nie nastąpi to jednak szybciej niż po 1975 roku. Sprawa ewentualnego metra dla Łodzi jest zresztą poważniejsza i wymaga jeszcze wielu studiów i analiz zrnim narodzi się realna i ekonomicznie uzasadniona koncepcja. Sądzę, że rozpoczęcie tej inwestycji nie na-

KSZTAŁT DZISIEJSZY, KSZTAŁT JUTRZEJSZY

kowe tych budowli pozostawiają bardzo wiele do życzenia, to przecież doraźnie przydały się one mieszkańcom miasta i dzielnicy. Jednakże rezultaty tych kompromisów budowlano-komunalnych znacznie nam dziś komplikują możliwości całościowych nowoczesnych zamierzeń urbanistycznych.

ODGŁOSY: Ale całościowe koncepcje o charakterze nowoczesnym nie są przecież możliwe z uwagi na zabytkową część Śródmieścia. Secesja i historyzm dostąpiły dziś prawa ochrony konserwatorskiej w naszym mieście. Jak więc pogodzić potrzebę pietyzmu, konserwacji i odtwarzania materiału zabytkowego z potrzebą niezbędnych wyburzeń?

MGR INŻ. S. ŻALOBNY: Cała substancja zabytkowa Śródmieścia musi zostać zachowana. Na 550-lecie Łodzi zaplanowaliśmy rekonstrukcję ulicy Piotrkowskiej. Koncepcję tego zamierzenia opracował Zespół Urbanistyczny naszego Prezydium DRN, a dokumentację wykonały Zakłady Artystyczne. Chcemy przywrócić Piotrkowskiej w jej zabytkowych fragmentach prawdziwy i autentyczny charakter, pozbawić ją błichtu i szpecących przeróbek. Całą natomiast resztę starej zabudowy pochodzą-

selekcjonując co należy zachować, a co jak najszybciej usunąć. Choć może niektórzy podnoszą to w dyskusjach, to również względy ekonomiczne przemawiają za wyburzeniami. Śródmiejska zabudowa jest przecież zasadniczo zużyta przynajmniej w 60 proc. swej pierwotnej wartości. Dlatego remonty dzielnic jest problem braku dostatecznej ilości izb na wykwatowanie. W celu umożliwienia racjonalnych wyburzeń w Śródmieściu potrzebne jest zapewnienie w ciągu najbliższych 10 lat na cele wykwatowania, jak i na poprawę warunków mieszkaniowych około 20 tys. izb. I to jest typowe wąskie gardło, które — mamy nadzieję — uda się poszerzyć dzięki znanym środkom finansowym, które Łódź otrzymała w bieżącej pięcioletce. Mogę więc powiedzieć, bez przesady, że każdy tysiąc izb wybudowany ponad zaplanowane 142 tys w planie pięcioletnim, przybliży realnie perspektywę szybszej modernizacji Śródmieścia. Najtrudniejszy pod tym względem będzie rok bieżący, kiedy to dopiero zaczęliśmy przygotowywać bazę mieszkaniową na te nowe potrzeby.

mo czeka dalsze fragmenty ulic: Głównej i Kilińskiego. W ten bowiem sposób uzyskamy szybkie drogi przelotowe w kierunku północ — południe (Zachodnia i Kościuski z jednej strony i Kilińskiego z drugiej) oraz w kierunku wschód — zachód (Narutowicza i Zielona z drugiej strony — Główna i Mickiewicza). Te zamierzenia znacznie usprawnią komunikację w centrum. Chcemy też odciążać ul. Piotrkowską z parkujących na niej wciąż samochodów. Będziemy tu uzyskiwać stopniowo poprzez budowanie dróg dojazdowych do placówek znajdujących się przy Piotrkowskiej od zaplecza, to znaczy od alei Kościuszki i ul. Sienkiewicza. Skończą się wtedy całe karawany samochodów dostawczych, wygniatających asfalt na Piotrkowskiej. Pewne wyburzenia w tym rejonie pozwolą nam również wygospodarować sporo powierzchni pod parkingi, których brak wciąż odczuwamy.

ODGŁOSY: A dalsza perspektywa rozwoju szybkiej komunikacji miejskiej?

MGR INŻ. S. ŻALOBNY: Jest wciąż dyskutowana sprawa kolei średnicowej i obwodowej dla miasta. Są też pewne projekty wybu-

stąpił wcześniej niż w latach 90-tych naszego stulecia.

ODGŁOSY: Czym się więc nam zaprezentuje Śródmieście w 1975 roku?

MGR INŻ. S. ŻALOBNY: Nowoczesnym rejonem okolic Dworca Fabrycznego, który zostanie uporządkowany wraz z całym zapleczem. Rejonem, w którym stanie wielki hotel, wyrosną wieżowce przedsiębiorstw handlu zagranicznego, ulegnie zmianie i rozbudowie dzisiejszy LDK i powstanie nowoczesne skrzyżowanie ulic Kilińskiego i Traugutta z pierwszym podziemnym przejściem w Łodzi. Zaprezentuje się też inny rejonem — ulicy Głównej, szerokiej i pięknej, przy której staną biurowce, pawilony gastronomiczne i handlowe i pierwsze budynki Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. I zabudową plombową — mam nadzieję, że ciekawszą niż dotąd — w zachodniej pierzei ulicy Piotrkowskiej, w miejscu najbardziej zużytych i szpecących budynków. A także rozpoczętą wielką budową nowego osiedla przy przedłużeniu alei Kościuszki.

Rozmowę przeprowadził:

I. G. ROMANOWSKI

STEFAN PRAŻMOWSKI

Przejścia i uskoki

Z PEWNA OBAWA przystępuję do zaprezentowania nieantagonistycznego konfliktu między architektami a budowlanymi, którzy są budowniczymi nowej Łodzi. Obiekcje moje wynikają stąd, że wypadłoby przy tej okazji wspomnieć trochę krytycznie o budowlanych, a tymczasem, choć nie podlegają oni już specjalnej ochronie, zdają sobie jednak sprawę, że to ludzie subtelni, delikatni, wrażliwi, więc mogą spowodować, że popadną w stan frustracji, nastrój pesymizmu i żółtej melancholii. Może się to z kolei odbić na jakości budynków i trwałości tynków. Wszyscy wiemy, że krytyka musi być konstruktywna. Obraz zaś pracownika budowlanego, ukształtowany przez felietonistów i satyryków kojarzy się nam zwykle z facetem lykającym piwo bezpośrednio z butelki. Jest to oczywiście dowód oderwania się naszej satyry od życia.

Zupełnie inaczej ma się sprawa z architektami. Ci mają lepszą prasę i reputację, ale bardzo mało do powiedzenia. Mogą wyzywać się tylko w konkursach, bo w pracy podstawowej nawet sam wielki Corbussier nie by nie poradził, gdyby miał zaprojektować osiedle budowane przez „fabrykę domów”. Każdy budynek — przeciętnie 144 elementy. Taśmowa produkcja nie oznacza jednak taśmowej architektury.

Projektanci Retkini, 100-tysięcznego osiedla, które ma być całkowicie zbudowane przez Fadom, wzięli sobie gorąco do serca swoją rolę i dla urozmaicenia urbanistyki zaproponowali w piwnicach niektórych budynków przejścia dla pieszych oraz uskoki. W konkursie Ministerstwa Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych (to jest nazwa) otrzymali nawet nagrodę za swą koncepcję. Wykonawcy początkowo wyrazili zgodę,

ale im bliżej do realizacji, tym ich zapal jest mniejszy. W końcu w ogóle zażądali zlikwidowania przejść i uskoków. Grupa projektantów znalazła się, mówiąc delikatnie, w kropce.

Co prawda prochu nie wymyśliliśmy — twierdzą architekci — lecz jesteśmy zaskoczeni, że nawet te nieśmiałe próby rozszerzenia nieco systemu „Szczecińskiego” natrafiają na tak silny opór wykonawców. Ponieważ zastosowanie uskoków podraża rzekomo metr kwadratowy budowli o 150 zł, postanowiliśmy wydłużyć niektóre budynki i w ten sposób uzyskać rekompensatę kosztów. Odmowa Fadomu spowoduje wstrzymanie pierwszego etapu realizacji osiedla. Trzeba będzie przeprojektować dokumentację, nie wspominając już o tym, że minimalistyczne stanowisko wykonawców obniży wartość społeczną, architektoniczną i urbanistyczną nowego osiedla. Absurdalne wydaje się w tak szerokiej skali (13,000 izb rocznie) stosowanie wyłącznie 3-4-sekcyjnych budynków pięciokondygnacyjnych bez uskoków. Cóż, wobec twalego uporu budowlanych jesteśmy bezsilni. O tym, jak nasza współpraca z nimi wygląda, niech świadczy fakt, że do tej pory wykonawcy nie ujawnili nam nawet warunków gwarancyjnych, na jakich będzie pracować nowa „Fabryka Domów”. Czyż byśmy byli partnerami tek bardzo niegodnymi zaufania?

Gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że i druga strona ma swoje racje. Dy-

rektor Fadomu twierdzi, że nie tyle z technicznego, co właśnie ze społecznego punktu widzenia, jest przeciwnikiem drażenia tunelu pod budynkami mieszkalnymi. Sprawdzone zostało na całym świecie, że w przejściach tych, jak w ciemnych zaułkach portowych, grupują się wieczorami wszelkie męty społeczne i chuliganeria. Urozmaicenie osiedla widzi natomiast w zastosowaniu różnokolorowych elewacji. Świętynie nadawałaby się terabona. Fadom jest zdolny do wyprodukowania kilku kolorów tego materiału elewacyjnego. Terabona ma tę jeszcze przewagę, że jest łatwo zmywalna. Projektanci proponują piaskowiec. Wtedy Retkinia będzie

miała elewacje jak ów dom handlowy na rogu Piotrkowskiej i Mickiewicza. Rzeczywiście wydaje się, że jeden bunkier na całą Łódź wystarczy. Trudno sobie wyobrazić, żeby olbrzymie, 100-tysięczne osiedle wyglądało jak bunkier.

Sprawy są chyba do dogadania, do dyskusji, do wzajemnego wyjaśnienia stanowisk. Mamy już dość dużo urbanistycznie i architektonicznie niewydarzonych osiedli w mieście, by w dalszym ciągu mnożyć błędy. Budowa nowego, dużego osiedla jest rzeczą poważną i takie wzajemne boccenie się na siebie projektantów i wykonawców wydaje się czymś wielce nieodpowiedzialnym. Zamiast przyjaz-

nej i solidarnej współpracy nad wspólnym dziełem mamy tu do czynienia z urazonymi ambicjami. Zamiast wymiany poglądów i doświadczeń, mamy wymianę pism i pisemek. W ten sposób nigdy nie zbudujemy Łodzi piękniejszej i wspanialszej.

Ludzie! — chciałoby się zawołać — idźcie na wódkę (bardzo to niepedagogiczny apel w dobie walki z alkoholizmem), dogadajcie się i zabierzcie do wspólnej roboty, aby znów nie powstał w Łodzi urbanistyczny potworek, lecz osiedle z prawdziwego zdarzenia, w którym będzie można nie tylko mieszkać, ale i żyć.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Kiedy w 1971 r. w 8 nr „Od-głosów” ukazał się wywiad z Konserwatorem Zabytków, A. Szramem, w którym całkowicie pominięto mój dorobek, przesłałem na Pańskie ręce sprostowanie z prośbą o wydrukowanie go. Niestety, nie zostało ono wydrukowane. Po pewnym okresie ciszy natomiast, zaatakował mnie w niewybredny sposób w audycji radiowej Pan Urbankiewicz. Teraz znów Pan Urbankiewicz w sposób kłamliwy wypowiada się na mój temat w „Od-głosach”. Ostrożnie sobie z tego dedukuje, że Panowie Urbankiewicz i Szram

stanowią zgodnie działający tandem.

Panie Redaktorze, rozumiem działanie mechanizmów zmierzających w kierunku tzw. „Zalatwienia faceta”, śledząc ich rozwój i tajniki z prawdziwą ciekawością, jako zjawiska bardzo u nas powszechnego. Tak się jednak składa, że nie mam w sobie nic z faceta, który daje się „zalatwić” zbyt łatwo.

Uprzejmie więc jeszcze raz Pana Redaktora proszę o wydrukowanie mojej odpowiedzi p. Urbankiewiczowi na łamach Pańskiego pisma.

(—) T. BYCZKO

Listy DO REDAKCJI

POJECHAŁEM na kilka dni do Niemieckiej Republiki Demokratycznej zobaczyć, jak realizuje się w praktyce ta podniecająca decyzja o otwarciu czy raczej zniesieniu granic między naszymi państwami. Ponieważ przebywałem w Berlinie i to wyłącznie na koszt RSW „Prasa”, więc nie mam obowiązku ani ambicji napisania raportu, tego ostatnio tak modnego gatunku dziennikarskiego z wojaży do NRF, szczególnie do Monachium lub Hamburga. Tak więc raportu nie będzie, najwyżej garść refleksji, spostrzeżeń i informacji.

Z wiekopomną tą decyzją łączono wiele obaw i nadziei. Już dziś, po dwóch miesiącach, można stwierdzić, że obawy były ponne, a nadzieje słuszne. Zresztą zniesienie ograniczeń paszportowo-celnych znane jest krajom Europy Zachodniej dość dawno, a jakoś świat kapitalistyczny się od tego nie zawałił, więc i nasz socjalistyczny tym bardziej to przetrzyma. Że w Zgorzlecu chleb jest smaczniejszy niż w Goerlitz, wskutek konkurencji, będą zmuszeni podnieść jakość swych wyrobów co najmniej do poziomu polskiego. W przeciwnym razie zbankrutują.

Oczywiście chleb jest tylko ilustracją, wycinkiem pewnego szerszego zjawiska, zwanego konkurencją. Wskutek tego, że niektóre artykuły przemysłowe w NRD są lepsze, nasi tancieciarze będą zmuszeni podnieść jakość swoich wyrobów. Otwarcie granicy poszerzyło automatycznie rynek konsumenta. I to jest cecha szczególna pierwszej fazy nowych stosunków. Zanim dojdzie do szerszej wymiany dóbr duchowych zawsze poprzedza je wymiana dóbr materialnych. Nawet na szczeblach rządowych misje handlowe wyprzedzają z reguły wszystkie inne misje. Przybyłe z NRD najpierw odwiedzają polskie sklepy, za rok będą odwiedzać polskie teatry. Identyfikacja jest z naszymi turystami. Wycieczka łodzian zorganizowana pod egidą „Expressu Ilustrowanego” i PTT-K najpierw udała się do „Centrum” (taki berliński „Uniwersal”), a dopiero potem do Pergamonu (muzeum). I to jest naturalne i normalne. Nie potrzebujemy sobie z tego powodu czynić wyrzutów i popadać w kompleksy. Nie jesteśmy znowu takimi pierwszymi Felicjanami Europy. Owszem, widziałem niekiedy tłok w berlińskich sklepach i kilka naszych panów biegających po mieście z żądzą konfekcji w oczach. Większość zachowuje się jednak z godnością, a nieliczni nawet wybrzydzą przy zakupach, co świadczy już o wysokiej klasie klientów.

Następstw decyzji o otwarciu granic jest mnóstwo. W codziennej praktyce wylania się cały szereg

KAROL BADZIAK

RAPORTU Z BERLINA NIE BĘDZIE

problemów tak, że i komputery nie nadążają z myśleniem, a co dopiero ludzie.

Zakwaterowanie i noclegi. Spoktalem na dworcu berlińskim dwoje młodych ludzi z Łodzi, którzy przyjechali nocnym pociągiem poczynili jakieś zakupy i wieczorem wyjechali. Można i tak, ale trzeba mieć dużo zdrowia i sił, żeby pozwolić sobie na podobnie wyczerpującą eskapadę. Poza tym taka jednodniowa wyprawa z Łodzi nie ma większego sensu, gdyż niewiele się zobaczy i niewiele kupi. Opłaci się to jeszcze mieszkańcom Poznania, Szczecina, czy Opoli. Przybysz z Łodzi powinien być przygotowany finansowo na spędzenie chociaż jednej nocy w hotelu. Hotele są dość drogie, kwatery prywatnych, przynajmniej w Berlinie, prawie nie ma. Natomiast w Lipsku znajduje się ich aż 20.000. Cena noclegu na kwatery prywatnej, jeśli się jedzie indywidualnie, wynosi od 14 do 28 marek. Jeśli się załatwia nocleg przez biuro podróży, cena jest o połowę mniejsza. Koszt 1-osobowego pokoju w najlepszym berlińskim hotelu — Hotel Stadt Berlin w sezonie letnim wynosi 64 marki. W styczniu i lutym jest niższa i wtedy płaci się 40 marek za dobę. Doba hotelowa zaczyna się w godzinach południowych.

Przedstawiciel niemieckiego Reisebüro (odpowiednik naszego „Orbis”), innych biur podróży w NRD nie ma) oświadczył mi, że są zdolni w ciągu 3-4 dni załatwić wszelkie życzenia klientów z Polski. Biuro to jest jednak nastawione głównie na turystykę zorganizowaną, zbiorową, zainteresowane jest także organizacją wypoczynku Niemców na wczasach w Polsce. Z Czechosłowacją na przykład podpisali roczną umowę na 3.000 miejsc wy-

poczynkowych w 55 miejscowościach. Podobną umowę chętnie zawarłoby z Polską. Według ich rozeznania, fali niemieckich turystów należy spodziewać się w następujących rejonach: Ziemia Lubuska, Karkonosze, Warmia i Mazury oraz Wybrzeże.

Jeśli idzie o autopost, to muszę naszą młodzież rozczarować. W NRD akcja ta wprawdzie nie jest zabroniona, ale nie posiada żadnych form organizacyjnych. Kierowcy prawie wcale nie zabierają autopostowiczów, a to ze względu na dużą odpowiedzialność w razie wypadku. Przepisy o ubezpieczeniach przewidują, że odpowiedzialność za ewentualne obrażenia pasażera w czasie wypadku ponosi właściciel pojazdu.

Na marginesie warto wspomnieć, że niemiecka milicja drogowa zapoznaje już swoich kierowców z polskimi przepisami ruchu kołowego. Istnieją tu bowiem dość znaczne różnice między kodeksami drogowymi, co zresztą już nie jeden nasz kierowca odczuł na własnej kieszeni. Dotyczy to szczególnie Berlina, gdzie, jak powiadają złośliwi, w centrum miasta jest zbyt mały ruch jak na stolice kraju, więc przepisy drogowe są tak skonstruowane, żeby zmusić każdego kierowcę do trzykrotnego okrążenia Alexanderplatz. W ten sposób ożywia się nieco wielkie, kamienne śródmieście.

Zainteresowanie Polską w NRD jest bardzo duże. Telewizja nadaje codziennie kącik turystyczny z Polski, prasa codzienna podaje szereg szczegółowych informacji, dotyczących naszego kraju, otwiera się również kursy nauki języka polskiego. Najwięcej zgłoszeń na te kursy notuje się spośród ekspedientek domów towarowych. Wzrosło także w Berlinie zapotrzebowanie na pilotów i przewodników turystycznych, władających językiem polskim. Obecnie wycieczki polskie po Berlinie pilotują przeważnie przewodnicy z Lipska.

W każdą niedzielę całe miasto roi się od polskich wycieczek. Na Placu Aleksandra zauważyłem autobusy i taksówki z rejestracjami Szczecina, Elbląga, Poznania, Rzeszowa, Wrocławka, Warszawy i Łodzi. Stadt Hotel Berlin w połowie lutego od parteru aż do 37 piętra rozbrzmiewał wyłącznie polską mową.

Muszę przyznać, że byłem dumny z postawy moich rodaków. Zachowywali się tak, jak należy. Były podobno sporadyczne wypadki handlu ulicznego, lecz obojętnie tego nie widziałem. Jakiś rodak podobno usiłował zbić kapitał na „Carmenach”, inny znów oferował przechodniom porcelanę i złote pantofelki balowe.

Co Polacy kupują w Berlinie? Siatki na włosy, czajniki z gwizdkiem, buty damskie, wózki dziecięce, zegarki, sprzęt fotograficzny i muzyczny, niektóre artykuły gospodarstwa domowego oraz bieliznę dziecięcą, bo jest ładna. Niemcy z kolei także kupują w Polsce bieliznę dziecięcą, ale dlatego, że jest bawelniana, zdrowsza. Przykład ten jest świetną ilustracją obu sąsiednich narodów. My kierujemy się względami estetyki, oni preferują zdrowie. Z drugiej strony my cenimy wyżej podniebienie, oni — technikę.

Można to było zauważyć w domu handlowym „Centrum”, gdzie z okazji „Tygodnia Polskiego” przy stoiskach z artykułami żywnościowymi z Polski kłębili się tłum niemieckich klientów, zaś przy stoiskach z artykułami technicznymi gromadzili się Polacy. Najlepszą markę mają w NRD Pudliszki.

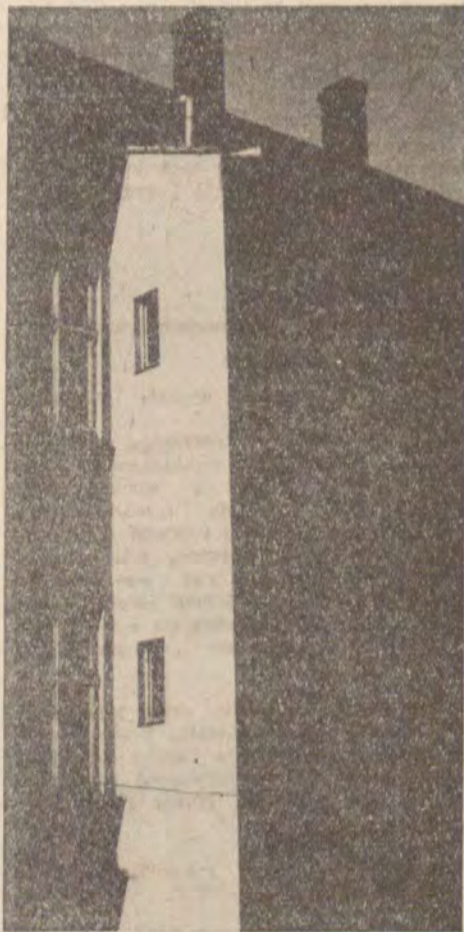
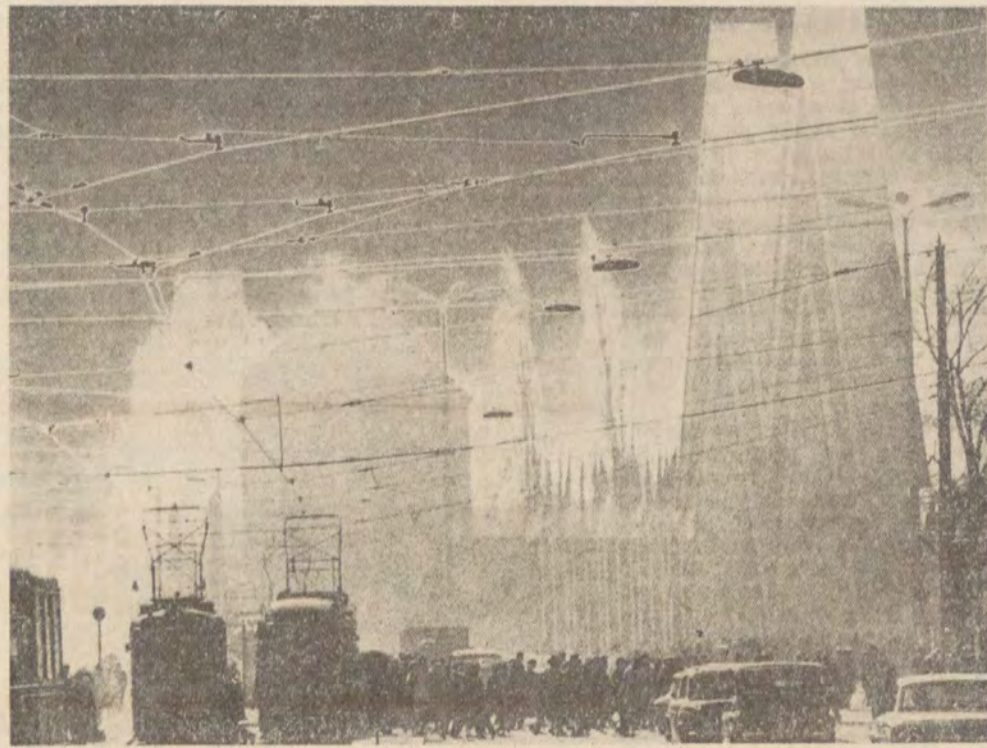
Nasi krawcy przyjeżdżają tu po guziki i mają pretensję do niemieckich sprzedawczyń, że nie chcą ważyć im tego na kilogramy, lecz sprzedają na sztuki. Hurtem idą również smoczki. Nie sądzę, że to kierowniczkę żłobków zakupują całe kartony. W ichnim Motozbycie oświadczone mi, że 60 proc. klientów stanowią Polacy. Część i akcesoria samochodowe cieszą się bardzo dużym popytem. Niemcy znów kupują u nas benzynę i muszle toaletowe, bo tańsze. I ogrzewacze, ale nie dlatego, że tańsze, tylko, że u nich wycofano je z handlu, ponieważ pożerają zbyt dużo energii elektrycznej, z którą NRD ma niejaki kłopot.

W NRD faktycznie odczuwa się dość silnie brak rąk do pracy. Dziennikarze berlińscy skarżyli się, że nie ma nawet kto sprzedawać ich gazet. Kiosk z gazetami, który u nas wszedł na stałe do pejzażu miejskiego, jest w Berlinie widokiem bardzo rzadkim. Aktualnie istnieje tam zapotrzebowanie na 170 kioskarzy. Sprawy rozładuje nieco fakt, że wśród czytelników niemieckich istnieje silnie zakorzeniona tradycja prenumeraty czasopism.

Wspominam o tym dlatego, żeby stwierdzić w konkluzji, iż z powodu braku rąk do pracy usług w NRD są dość drogie. W rozmowie z pewnym tamtejszym działaczem sugerowałem, czy by nie można, wzorem polskim, przystosować w czasie wakacji domów akademickich dla celów hotelowych. Otóż rzecz byłaby do zrobienia, gdyby nie brak personelu. Może więc jakieś studenckie hotele są moobslugowe? Warto, by nasze ZSP dogadało się w tej sprawie z niemieckimi studentami. Wydaje mi się, że warto to przemyśleć.

Wspominam o tym dlatego, żeby stwierdzić w konkluzji, iż z powodu braku rąk do pracy usług w NRD są dość drogie. W rozmowie z pewnym tamtejszym działaczem sugerowałem, czy by nie można, wzorem polskim, przystosować w czasie wakacji domów akademickich dla celów hotelowych. Otóż rzecz byłaby do zrobienia, gdyby nie brak personelu. Może więc jakieś studenckie hotele są moobslugowe? Warto, by nasze ZSP dogadało się w tej sprawie z niemieckimi studentami. Wydaje mi się, że warto to przemyśleć.

Dalszy ciąg na str. 8



Fot. J. Mendychowski

ANDRZEJ KOWALSKI

W TROSCE O ŁAD I PORZĄDEK

Uchwalenie i wejście w życie Kodeksu Wykroczeń oraz zunifikowanie postępowania w sprawach o wykroczenia, jest istotnym etapem reformy naszego ustawodawstwa karnego. Wyznacznikami tego procesu były z jednej strony teoretyczne i praktyczne rozwiązania nowych kodyfikacji karnych a z drugiej — własny, wieloletni dorobek kolegiów karno-administracyjnych. Społeczna potrzeba unowocześnienia tej dziedziny prawa była również niewątpliwa.

Nie oznacza to, że nowo obowiązująca forma jest ostateczna. Z przepisów, w sposób wyraźny wynika tendencja rozwoju prawa o wykroczeniach, jako etapu przejściowego między sądową reakcją na czyn przestępny o wyższym stopniu społecznego niebezpieczeństwa a reakcją społecznego oddziaływania, znaną dla sądów społecznych. W Związku Radzieckim, w socjalistycznym procesie depenalizacji życia społecznego, z wielkim powodzeniem dokonano przeskoku od reakcji sądów państwowych do sądów społecznych bez przechodzenia takiego etapu rozwojowego.

Nasz system sądownictwa społecznego rozwija się bardzo

powoli. Będzie do rozwoju sądownictwa społecznego i innych środków oddziaływania wychowawczego mogą okazać się artykuły: 40 oraz 41 k.w. Stwarzają one, między innymi, możliwość rozpatrywania szeregu spraw w zakładach pracy (kolektywy pracownicze, kierownik), organizacjach społecznych do których sprawca należy (zakładowe koło ZMS), w społecznych komisjach pojednawczych w miejscu zamieszkania sprawcy, komitetach blokowych. Przecież cel działania w/w organów oraz kolegiów jest w tym miejscu zbieżny: chodzi o utrzymanie porządku, dyscypliny społecznej i pozytywne wychowawcze oddziaływanie w zakresie czynów drobnych. Nakłada to na sądy społeczne, organizacje społeczne dodatkowe obowiązki, które należy poiraktować szczególnie poważnie i sumiennie.

W częściach ogólnych nowych kodeksów zawarto szereg zasad ustrojowych, prawno-materiałnych i procesowych, które legły u podstaw kodyfikacji i jednocześnie określiły kierunek interpretacji dalszych przepisów. Zasady te są również gwarancjami praw obywatelskich. Warto kilka z nich wymienić:

— zasada niezawisłości orzekania;

— zasada prawdy obiektywnej i bezstronności;

— zasada domniemania niewinności;

— zasada odpowiedzialności indywidualizowanej, opartej o winę;

— zasada pełnej obrony.

Szczególne uwagę należałoby zwrócić na dwie kwestie z części ogólnej ze względu na nowoczesność ujęcia. Art. 4 Kodeksu Postępowania w sprawach o wykroczenia określa zadania tego postępowania:

— ustalenie sprawców wykroczeń;

— stosowanie do nich przewidzianych w ustawie środków w celu wdrażania do poszanowania prawa i przestrzegania zasad współżycia społecznego;

— ujawnienie okoliczności sprzyjających popełnieniu wykroczeń.

To ostatnie zadanie jest szczególnie ciekawe. Ustawodawca ma na myśli zebranie systemu przesłanek, które mogły zapobiec wykroczeniom w przyszłości.

W ścisłym związku z tym ambitnym założeniem pozostaje art. 5 k.p.o.w., nakazujący wytykanie uchybień w działalności instytucji państwowych i społecznych. W myśl § 2 tego artykułu złożenie wniosku o ukaranie nie wyczerpuje obowiązku instytucji, ponieważ nie

JEDEN Z NAJWYŻSZYCH, NIE ZBADANYCH SZCZYTÓW HIMALAJSKICH, LICZĄCY 7.852 METRY WYSOKOŚCI, KUNG-YANG CHHICH, ZOSTAŁ ZDOBYTY DOKŁADNIE 26 SIERPNIĄ 1971 ROKU. DOKONAŁA TEGO 13-OSOBOWA GRUPA NAJLEPSZYCH POLSKICH ALPINISTÓW. WŚRÓD NICH ZNALAZŁ SIĘ TAKŻE ŁODZIANIN, INŻ. JERZY MICHALSKI.

— To była ostatnia wyprawa. A wcześniej?

— Wielokrotnie byłem w Alpach i na Kaukazie, w 1963 roku byłem współorganizatorem wyprawy w Hindukusz, a w 1969 roku — kierownikiem wyprawy w Atlas. Ale ta ostatnia, himalajska, była najtrudniejsza.

— Dlaczego?

— Trwała w sumie pięć miesięcy, ale przez dwa ostatnie ciągle tkwiłszy pod górą, którą chcieliśmy zdobyć. Było to niezwykle wyczerpujące psychicznie, bo albo nie mieliśmy odpowiedniej pogody, albo przeszkadzały lawiny. W czasie wyprawy zginął jeden z naszych kolegów i było to dla nas wstrząsające przeżycie.

Wreszcie trafiliśmy na dobrą pogodę i atak na szczyt zakończył się powodzeniem. Zdążyliśmy w ostatniej chwili, bo kiedy schodziliśmy, pogoda znów się popsowała.

— To, co Pan mówi, potwierdza tylko ogólne przekonanie, że alpinizm jest bardzo niebezpieczny.

— Nie, ogólna opinia jest przesadzona. Niebezpieczeństwo nie jest wcale tak wielkie. Wypadki zdarzają się przecież ludziom przechodzącym przez jezdnię. A zdarzają się najczęściej tym, którzy nie znają praw poruszania się po jezdni. Podobnie jest z chodzeniem po górach. Alpinizm nie jest wcale sportem bardziej niebezpiecznym od innych.

— Więc to jest sport?

— Tak! A dlaczego pan wątpi? — To nie ja. Powszechne mniemanie jest takie, że alpinizm jest ekscentrycznym szaleństwem.

— Jednak jest to poza wszelkimi wątpliwościami sport, który wymaga nie tylko ogromnego wysiłku fizycznego, ale też i znacznej wiedzy. A ogólne mniemanie wynika z tego, że nie jest to sport popularny, masowy, jego wyników nie można zmierzyć stoperem ani centymetrem, a poza tym wszystkim nie jest to sport widowiskowy.

— Skoro nie daje popularności, czym wobec tego rekompensuje jej brak?

— Jak inne dyscypliny sportowe alpinizm wyrabia wytrwałość i cierpliwość. Ale przede wszystkim daje możliwość poznania siebie i innych. Podczas wspinaczki rodzą się silne przyjaźnie albo nienawiści. Są ludzie, którzy nigdy nie pójdą ze sobą w góry. W czasie wyprawy, kiedy często człowiek jest głodny i nie ma co jeść, jest niewyspany, przemoczony — nie ma miejsca na sobokostwo, zawiść i egoizm. Proszę nie rozumieć, że wszyscy jesteśmy tacy kryształowi. Wielu z nas ciągle się jeszcze tego uczy.

— I chyba dla tych walorów członkowie waszej wyprawy w

Himalaje znaleźli się wśród proponowanych przez „Popołudnie z młodzieżą” kandydatów na młodzieżowego bohatera roku?

— Być może, chociaż ja bym nie wiązał alpinizmu z bohaterstwem. Dla mnie bohaterem jest ktoś, kogo powinno się naśladować. Na pewno, gdyby poszukać, to wśród alpinistów znajdują się ludzie godni naśladowania, ale czy fakt zdobycia szczytu upoważnia do miana bohatera?

— Czy w postawie alpinisty, który stanął na niedostępnym szczycie, nie ma czegoś zwyczajnego?

— Nie! Pierwsze uczucie, to odprężenie psychiczne po ogrom-

mo, odpowiedział: „Po prostu dlatego, że góry są”.

Ludzie miast szukają kontaktu z przyrodą. Jednym wystarczy krótki pobyt na wsi, inni lubią przebywać w lesie, a jeszcze inni uciekają od współczesnej cywilizacji w góry.

— Czy wśród alpinistów są górale?

— Nie ma, bo dla nich góry są naturalnym środowiskiem, do którego przywykli. Powiedziałbym, że oni traktują góry w sposób profesjonalny. My szukamy tam czegoś innego. Nie podejmuję się na przykład opisać wschodu i zachodu słońca widzianego ze szczytu góry, bo to trzeba samemu zobaczyć.

Obcowanie z górami jest też znakomitą formą intensywnego wypoczynku.

— Przepraszam, ale sam Pan mówił o ogromnym wysiłku.

— Tak, proszę jednak zwrócić uwagę na to, kto ten sport uprawia. Jest to wyłącznie sport ludzi pracujących umysłowo, a nie-

— Oby te nagrody były zapowiedzią lepszych czasów dla tej dziedziny sportu.

— Sądzę, że będą. Mamy już nawet pewne plany, które spotykają się chyba z przychylnością władz, a ich realizacja przyczyni się do wzmocnienia pozycji alpinizmu.

— Na przykład?

— Łódzki Klub Wysokogórski dla uczczenia 550-lecia nadania praw miejskich Łodzi chciałby zorganizować wyprawę w Himalaje albo Andy.

— Byłaby to znów długotrwała wyprawa. Jak Pan godzi swoją pasję z zawodowymi obowiązkami?

— To nigdy nie jest łatwe. Ale do tej pory zakład, w którym pracuję, ustosunkowywał się życiowo do moich wycieczek.

— Gdzie Pan pracuje?

— Jestem inżynierem-elektrykiem i pracuję w „Elcie”. Zajmuję się eksportem urządzeń elektrotechnicznych.

— Raczej nie. Obliczyłem sobie na przykład, że przygotowaniem do wyprawy w Himalaje poświęciłbym około 1.300 godzin w ciągu roku.

— Aż tyle?

— Tak, a złożyły się na nie: uzyskanie zawodowego prawa jazdy II kategorii, starania o samochód marki „Star”, dotarcie go i przygotowanie do długiej podróży w górskich warunkach, a poza tym skompletowanie sprzętu. Przez cały czas dojazdu do celu wyprawy pełniłem rolę kierowcy i w sumie przejechałem około 16.000 kilometrów.

— Ale nie zawsze przygotowuje się Pan do wyprawy. Co Pan wtedy robi?

— Na przykład, w wolne niedziele, jadę do Zakopanego, aby trochę pochodzić po górach. Nie wyobrażam sobie innego wypoczynku. Nie mógłbym, jak niektórzy w czasie urlopu, całymi godzinami leżeć na piasku nad morzem. Mnie by to zmęczyło, a poza tym byłbym już pewnie stęsknionym panem z brzuskiem.

Wolne chwile poświęcam też męskiej opiece nad domem.

— A co żona na to wszystko?

— No... nazwałbym to życiową obojętnością.

— Zmienimy więc temat. Proszę opowiedzieć o swoim najtrudniejszym momencie w czasie któregoś z wypraw.

— Było to zimą 1963 roku w Alpach. W czasie wspinaczki na... gale pogorszyła się pogoda i lawiny uniemożliwiły nam odwrót. W związku z tym wspinaczka się przedłużyła i przez cztery dni byliśmy bez jedzenia. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to wejść na szczyt, a potem zejść w dolinę, gdzie był hotel, nieczynny o tej porze roku. Kiedy tam dotarliśmy, byliśmy potwornie głodni i zmarznięci. Włamałszy się do hotelu, ale nie było tam nic do jedzenia. Dopiero po wyważeniu drzwi do piwnicy znaleźliśmy bogaty zbiór win. Niektóre były sprzed 50 lat. Wypiliśmy.

— Miało być o momencie najtrudniejszym, a przecież pointa jest zabawna.

— To dziś się tak wydaje, ale kiedy wówczas wróciliśmy do Chamonix powitano nas jak zmartwychwstałych, bo wszyscy myśleli, że zginęliśmy w ścianie.

— Od kiedy uprawia Pan alpinizm?

— Od 1953 roku. Na początku była to górską turystyką. Z czasem to mi już nie wystarczało i zacząłem trenować wspinaczkę.

— Pytanie trochę niedyskretne: ile Pan ma lat?

— Czterdzieści.

— A jak długo ma Pan jeszcze zamiar uprawiać alpinizm?

— Póki sił starczy. W Krakowie mieszka para małżeńska. Licząc sobie po siedemdziesiąt lat i jeszcze do tej pory oboje chodzą po górach.

— W jakim razie przed Panem długa kariera. Czego życzy się alpinistom?

— Stromych ścian!

Rozmawiała:

BOGDA MADEJ

PREZENTACJE

Jerzy Michalski

nym wysiłku. Porównałbym je raczej do uczucia, jakie ogarnia człowieka po zdaniu trudnego egzaminu. Wielka radość przychodzi znacznie później.

— A strach?

— Kiedy jest się już w ścianie, to człowiek jest tak skoncentrowany, że o strachu nie ma mowy. Byłem już w wielu trudnych momentach i jakoś nie bałem się.

— Nigdy Pan się nie boi?

— No, nie. Uczucie strachu ogarnia mnie zawsze przed wejściem na ścianę, wtedy, kiedy droga jest do wyboru, kiedy jeszcze nie wiadomo, czy pogoda dopisze.

— Skoro Pan się boi, to co Pana ciągnie do wspinaczki?

— Pasja gór. A jeśli pani zapyta teraz, dlaczego chodzę po górach, to odpowiem cytatem. Sławny himalaista Malory, który zginął w 1924 roku podczas próby samotnego wejścia na Mount Everest, zapytany kiedyś o to sa-

jednokrotnie reprezentujących twórcze zawody. Dla nich odpowiedzialnym jest wysiłek fizyczny.

Nie bez znaczenia jest tu też fakt, że alpinizm jest sportem raczej drogowym. Jest to sport amator, ski, do którego dopłaca się z własnej kieszeni. Nie ma dla nas tzw. diet na dożywianie, a niejednokrotnie bywa i tak, że udział w wyprawie wysokogórskiej możliwy jest tylko po uzyskaniu bezpłatnego urlopu w miejscu pracy i po całkowitym, lub częściowym jej sfinansowaniu.

— Ostatnio zmienia się chyba stosunek władz sportowych do alpinizmu?

— Tak. Za zdobycie Kung-Yang Chhich otrzymaliśmy złote medale za wybitne osiągnięcia sportowe od GKKFIT, a także puchar — nagrodę ministra spraw zagranicznych, jako wyraz uznania za rozstawianie imienia Polski w świecie. Ta doroczna nagroda sportowa po raz pierwszy przypadła w udziale alpinistom.

— Czy zaraz po pracy idzie Pan na trening?

— Treningi mamy dwa razy w tygodniu. Trenujemy na sali, a oprócz tego w niedzielę w lesie lagiewnickim.

— Jak wygląda taki trening?

— Niech pani czasami nie myśli, że wspinamy się po ścianach sali gimnastycznej. Gramy w siatkówkę, uprawiamy gimnastykę przyrzadową, a w lesie — marsz i bieg z plecakiem. Mam również rower wycieczkowy, na którym jeżdżę dla utrzymania kondycji.

— Czy poza tym uprawia Pan inne sporty?

— Dawniej grałem wycyznowo w siatkówkę.

— Co Panu ośobiście dało uprawianie sportu?

— Przede wszystkim dobre samopoczucie, sprawność fizyczną oraz umiejętności współzycia z ludźmi.

— Na nadmiar wolnego czasu nie może Pan chyba narzekać?

zwalnia jej od ustawowej konieczności zapobiegania podobnym czynom w przyszłości. Jest to zatem coś więcej, aniżeli obowiązek tzw. sygnalizacji.

Zadania stojące przed kolegiami do spraw wykroczeń są więc szerokie, ale wyraźnie można stwierdzić zaakcentowanie oddziaływań profilaktyczno-wychowawczych.

Do podobnego wniosku można dojść, analizując system kar i zasady ich wymiaru. Wprawdzie na czele katalogu kar zasadniczych znajduje się kara aresztu, występująca w sankcji 42 artykułów kodeksu, ale w myśl art. 35 k.w. ma być ona wykorzystywana rzadko i racjonalnie w sytuacji, kiedy waga czynu, lub okoliczności sprawy, świadczą o demoralizacji sprawcy, albo gdy sposób działania sprawcy zasługuje na szczególne potępienie. Dodatkowa reguła, zawarta w art. 26 k.w., zakazuje wymierzania kary aresztu zasadniczego i zastępczego, jeżeli warunki osobiste sprawcy uniemożliwiają odbycie tej kary. Kara aresztu występuje zawsze alternatywnie z innymi karami zasadniczymi, co razem daje podstawę do realizacji zasady ograniczenia krótkoterminowych kar pozbawienia wolności jako niecelo-

wych i nieskutecznych. Karę aresztu można orzec za wykroczenie popełnione z winy umyślnej.

Zgodnie z art. 25 § 1 można orzec zastępczą karę aresztu, ale dotyczy to wypadków grzywny powyżej 1.000 zł, a w szczególności gdy sprawa nie ma stałego źródła utrzymania lub stałego miejsca zamieszkania. Kodeks kładzie nacisk na ścigalność grzywny a unika sytuacji „fundowania” przez Skarb Państwa 12-dniowych ferii w areszcie. Nie można takich „wczasowiczów” zatrudniać, wychować a oni sami nie odczuwają dolegliwości tak krótkiej kary.

Istnieją wszelkie podstawy ku temu, aby na gruncie kodeksu wykroczeń rozwinęła się wprowadzona przez Kodeks Karny kara ograniczenia wolności. Istota ograniczenia wolności z k.w. pozostała ta sama z wyjątkiem różnicy w okresie jej orzekania (od jednego miesiąca do trzech miesięcy) oraz pominięcia elementu składowego, przewidującego pozbawienie prawa sprawowania funkcji społecznej. Właśnie przy wykróceniach widać ogromne zalety tej kary jako groźnej konkurentki tradycyjnej już kary aresztu. Zaletami tymi jest możliwość połączenia dolegliwości

ukarania z procesem wychowania przez pracę i środowisko zakładu pracy.

Ważne miejsce w katalogu kar zasadniczych zajmuje w dalszym ciągu kara grzywny. Natomiast wzmocnieniu uległa pozycja nagany, którą awansowano do rangi czwartej kary zasadniczej. Przy jej stosowaniu należy brać pod uwagę charakter i okoliczności czynu lub właściwości i warunki osobiste sprawcy. Według art. 36 k.w. ma to uzasadnić przypuszczenie, że zastosowanie nagany jest wystarczające do wdrożenia sprawy do poszanowania prawa i zasad współzycia społecznego. Nagana może być orzekana także w trybie nadzwyczajnego złagodzenia kary (art. 39 k.w.), ale nie można jej orzec gdy uznaje się, że wykroczenie ma charakter chuligański.

Nowością jest rozszerzenie zastosowania i rozbudowa kar dodatkowych. Jeżeli kara dodatkowa jest przewidziana w ustawie to można ją orzec jako karę samoistną, odstępując od wymierzenia kary zasadniczej. W przepisach szczególnych kara dodatkowa przepadać rzeczy jest ukonkretniona i występuje w postaci przepadu mięsa (art. 118 § 4 k.w.), wytrychów lub kluczy (art. 129 § 3 k.w.) itd.

Zakaz prowadzenia określonej działalności lub wykonywania czynności związanych z wykonywaniem zezwoleniem oraz zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych stanowią nowum w praktyce kolegiów.

Nie są to jedyne rozszerzenia uprawnień kolegiów. Do ich dyspozycji przechodzi bowiem cały zespół instytucji, których wspólną cechą jest naprawienie szkody wyrządzonej przez sprawcę czynu zabronionego. Są to następujące środki:

— nawiązka;

— obowiązek zapłaty równowartości szkody;

— obowiązek przywrócenia do stanu poprzedniego.

Pożyteczność i funkcja wychowawcza tych instytucji są niewątpliwie. Celowa jest tendencja likwidowania skutków czynu zabronionego, np. sprawca sam naprawia uszkodzony przez siebie znak turystyczny (art. 85 § 3 k.w.). Hamując na sprawcę będzie działało odebranie osiągniętej korzyści, wreszcie wzmocni to wydatnie pozycję pokrzywdzonego. Niewiele bowiem daje właścicielowi ogrodu orzeczenie wobec sprawcy szkody kary grzywny, ale satysfakcjonuje orzeczenie przy tym nawiązki na rzecz pokrzywdzonego w wysokości do 3.000 zł (art. 150 § 3 k.w.). Taką rozbudowa i zróżnicowanie

środków reakcji na wykroczenia daje kolegiom szerokie możliwości stosowania indywidualizacji wymiaru kary i uniknięcia schematyzmu.

Część szczególna zawiera łącznie sto dziewięć artykułów i obejmuje tradycyjne wykroczenia przeciwko porządkowi i spokojowi publicznemu; instytucjom państwowym i społecznym; bezpieczeństwu osób i mienia; bezpieczeństwu i porządkowi w komunikacji; wykroczenia przeciwko osobie, zdrowiu, mieniu, obyczajności publicznej, urządzeniom użytku publicznego, obowiązkowi ewidencji oraz szkodzićto leśne, polne i ogrodowe. Z części szczególnej warto zwrócić uwagę na przejęcie jako wykroczenia dotychczasowego przestępstwa, polegającego na prowadzeniu pojazdu w stanie nietrzeźwości (art. 87 k.w.).

Poprzez zwiększenie kwoty zagarniętego mienia z 300 na 500 zł wzrosła liczba wykroczeń rozpatrywana przez kolegię, które tym samym odciążą sądy z tzw. „drobnicy”. Jest to jednak te ambitne założenia zrealizować, wymagać należy od samych kolegiów odwagi w stosowaniu „nowości”, które wprowadzili kodeksy, a od organizacji społecznych i ogółu społeczeństwa ścisłej współpracy z kolegiami.

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

POETY ŁÓDZKIEGO GRZEGORZA TIMOFIEJEW

PREZENTUJEMY JEGO UTWORY

Do synka list z obozu

Pierwsza nagroda na tajnym konkursie literackim w Gusen w r. 1944.

Jeśli bym mógł do ciebie pisać
Piękno i czar biorąc za style
Może bym pisał mgłą na ciszach
I zamiast kropek kładł motyle,

Może bym prawdy zaoszczędził
W tym liście, abyś się nie wzdrzynał,
Ze pisząc bajki i gawędy
Dzieciństwo truję ci maligną.

Jeśli bym mógł do ciebie pisać...
Lecz dłoń z obozu wyciągnięta
Na elektrycznych drutach zwisa
I groźnie woła w świat: pamiętaj!

Tę dłoń w konwulsji oszalałej
Na stosie trupów i dnie nocy
Spostrzegłem i zapamiętałem
Jak sztandar śmierci... Jeszcze oczy.

Które już gasły, a widziały
Daleko — pełne takiej siły,
Ze rwały w proch kamienne skały.

Gdy ludzie trwożnie śpią w ojczyźnie
Nurzając włosy w dymie sennym,
Krwawym księżycem stanie w izbie
Otwartych oczu blask śmiertelny.

Podejdzie blisko tak do łoża,
Ze dziecko zacznie płakać we śnie,
A kiedy przestraszyć będzie gorzał —
Krzyknie sieroco i boleśnie.

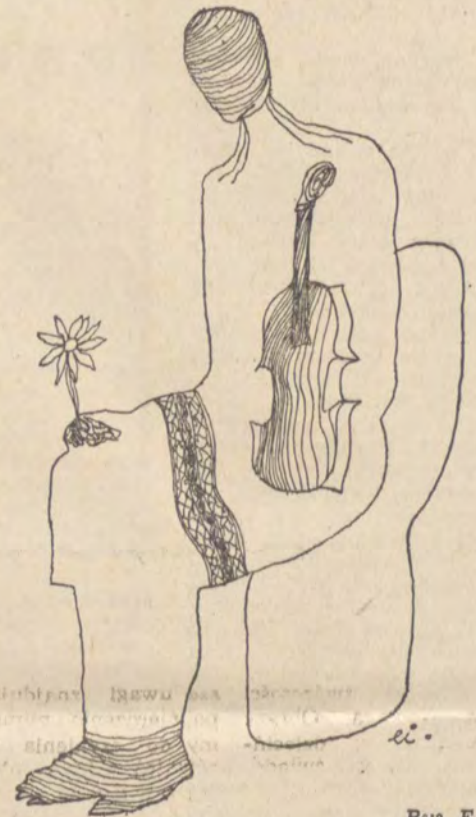
Skrzypek

Dzieci lepią w piasku słońcem lukrowane babki.
Bluszczy wróble setką dłoni nakrywa.
Na podwórku
Wędrowny skrzypek gra — —

Jest z królestwa — — —
(Nie wie, że zniesiono wyzysk człowieka przez człowieka)
Jest z królestwa muzyki i nędzy.

Ruchem Kubelika
Wzniósł smyczek, trąca i wzburza strunę.
Słoneczne dzieci, dom
I to, czego nie umiem wypowiedzieć.

Pięć palców — listek, którym grałem w zielone.
Pięć palców — modlitwa, którą słyszałem z ust matki.
Pięć palców — pieśń, która obalila mą ufność do świata.
Pięć palców — prośba o jałmużnę.



Rys. E. Ingłot

Śmierć

Krzyczał, płakał, przeklinał los,
Zapadał coraz głębiej...
Ręce lekarki
Usiłowały wydobyć go z krzyku,
Z rżenia i nicości...
Lecz on wyrywał się z objęć,
Ze spraw ludzkich,
Z realnych określał...

Ale krzyk stał się ciszą.
Ciszą nieład włosów nad czołem.
Ciszą każdy rys twarzy
I harmonia.

Wyniesiono go do kostnicy.
Sprzątnięto po nim wszystkie rzeczy:
Resztki przyslanego z domu jedzenia,
Nie dopity termos,
Okulary

List od córki
(Zegarka nie miał)
Pantofle —

Tylko na półce przy łożu
Zostało jabłko,
Rumiane,
O wydętych policzkach dziecka.
Czeka daremnie na jego dotyk.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

ZAPISKI KRYMSKIE



Krym — Jaskółcze Gniazdo

FRAGMENTY

Ileć myśla przynoszę się
w krajobraz śródziemnomorski,
za każdym razem od-
zywają się we mnie tęsknoty za
odzyskaniem pełnej równowagi
psychicznej, za czystym, suchym
powietrzem, za ciszą spotęgowaną
jaskrawością słońca i dzwonieniem
cykad rozżarającym upał, jasność
słoneczną, która, zdaje się, że każ-
dą skałę, roślinę przenika, oczy-
szcza z tajemnic. Wszystko dzięki
słońcu i zdecydowanym kolorom
jest tak oczywiste, dotykalne, że
trudno wyobrazić sobie inną rze-
czywistość niż tę, która istnieje.
Owo źródło światła otwiera błę-
kitne przestrzenie, pozwala żyć ni-
mi, oddychać pełniej jakby wy-
zwołonym się było z czasu. Może
to tylko zasugerowanie się, ale
przecież nie ja pierwszy, bo wielu
już przede mną odczuwało w kli-
macie śródziemnomorskim kathar-
sis przyrody i człowieka. Tam
właśnie czuję największe zespole-
nie własnych sił z przyrodą, tam
odnajduję ową harmonię życia
psychicznego i fizycznego i dlate-
go śmiem sądzić, że koncepcja kla-
sycyzmu, idea ładu i miary, zhar-
monizowania umysłu i zmysłów
człowieka z otaczającą rzeczywi-
stością mogła narodzić się wyłąc-
nie w basenie Morza Śródziemne-

go. Jednią błękitu morza, roślin-
ność żywa, zielona, a zarazem
jakby zamarała w bezruchu, jakby
nie dręczona żadnymi dolegliwo-
ściami klimatycznymi osiągnęła
cele stoicyzmu — wszystko to
sprawia wrażenie doskonałości,
ale...

Południowe wybrzeże Krymu.
Ostre szczyty Jajły przebijają je-
dwabną włóczką obłoków i grot
ich szaro-białe wyraźnie odkreślają
się od błękitu nieba; widok ów
przywołuje na myśl drzeworyty ja-
pońskie z popularnym motywem
Fudzi-jamy w wydaniu wielkiego
Hokusaja z tą jednak różnicą, że
mistrzowie drzeworytu kraju kwi-
tnącej wiśni ujmowali przestrzeń
płasko, pozbywając ją wszelkiej
cielesności, a tu zmysłowość na-
tury, klimatu Krymu ma wymiary
raju mahometańskiego. Jajła strze-
że od wieków tego uroczego, ci-
chego zakątka globu ziemskiego
przed wiatrami ze stepów, z dale-
kiej północy; od południowej stro-
ny góry schodzą początkowo stro-
mo, a następnie łagodnymi zbo-
czami w dół ku morzu, gdzie nie-
gdzie wyciągając skaliste pazury.
Jedynie Ajudah okazał się naj-
bardziej niesfornym i rzucił swe
cielsko dalej w morze, ale nie uja-
rzmil jego żywiołu i jakby w po-
dziwie przed nim zamarł, skamie-
niał. Ten tarasami schodzący, to
znów spiętrzający się krajobraz
posiada swoisty rytm, który nada-
ją mu ciemne sople błękitu — cy-
prysy, będące od pradawnych cza-
sów symbolem smutku człowiecze-
go i żaloby. Ów smutek nie scho-
dzi do głębi, między cienie Hade-
su, on, piramidalnie wzniesiony
jest pośród żywych, oznacza śmierć
pośród nas, śmierć na równych
prawach z życiem, on jakby przy-
brał najbardziej człowieczą postać
i podjął się istic heroicznego za-
miaru, swoją czerń tak zwiniętą
w sobie powierzyć słońcu, ukazać
się w majestatycznie samotnym
zamyśleniu o tym, co tragiczne,
otwartej zielonej i błękitnej prze-
strzeni.

Ale czy rzeczywiście trwale jest
poczucie jedni, czy ono w ogóle

istnieje? Naturalną tendencją
człowieka jest tworzenie ładu, sy-
stematyzowanie, hierarchizowanie.
Człowiek, ażeby pewien porządek
nadać temu co minione, teraźniej-
sze i przyszłe, uchwycić to w jakiś
schemat, stworzył przed wiekami
czas. Rzecz umowna, choć można
było z uzasadnionych całkiem
przyczyn przypuszczać, że on na
Ziemi i we wszechświecie nie ist-
nieje. Dopiero w dwudziestym
stuleciu naszej ery Einstein od-
krył czwarty wymiar przestrzeni
— czas. Czy owa nieświadoma na-
tura ma swój świadomy ład, nar-
zucony przez inną niż ludzką
świadomość?

Starożytni pitagorejczycy spro-
wadzili tajemnicę natury do liczb,
proporcji, nadali jej abstrakcyjny
porządek, który ich jednak nie za-
dowolił równie jak poczucie hao-
su. Otóż istota klasycyzmu śród-
ziemnomorskiego, jaką była dosko-
nałość, okazała się złudną, kryły
się w niej żywe załamki niedosko-
nałości.

W złotym wieku swej kultury
antycznej mędrcy znajdowali defi-
nicje dla wszystkich problemów
etycznych rodzaju ludzkiego, szu-
kali formuł, życie sprowadzili do
geometrii, ogłosili to ludowi i wy-
dawało się, że zamknęli krąg nie-
pokoju ludzkiego. I w tym się za-
przepaścili. Następni zrozumiaw-
szy ów wieczny błąd jakże im byli
podobni! Ów ład poczuli deforma-
wać, bazując już bardziej na źró-
dle dotychczasowych osiągnięć,
aniżeli bezpośrednio na samej na-
turze.

I dlatego obcowanie zbyt długie
z tym pejzażem daje spokój, po-
zwoli się nim nasycić, ale w końcu
ów spokój poczyna przerażać
swoim spokojem. Jakże prze-
wrotne bywają źródła ludz-
kiego niepokoju! Metafizyka,
odwieczna pasja poetów i
wszystkich twórców z krę-
gu sztuki, może wyrastać rów-
nież z harmonii, z tego, co skła-
da się na porządek, ład i bardziej
chyba ludzkie ma uzasadnienie
niż będąc tajemną wiedzą nicości
czy chaosu.

JAN KOPROWSKI

PAMIĘCI PANA KAZIMIERZA



Kazimierz Bleszyński

JUŻ PO RAZ DRUGI w ciągu tak krótkiego czasu przychodzi mi pi-
sać wspomnienie pośmiertne. Nie-
dawno pisałem na tym miejscu o zna-
komitym aktorze Stanisławie Łapińskim,
dziś poświęcam moje słowa pamięci Ka-
zimierza Bleszyńskiego, który odszedł od
nas w 92 roku swego życia. Ktoś powie-
nia, że epoka, w której żyjemy, jest
epoką szybkiego i gruntownego zapomi-
niania. Nie pamięta się cudzych zasług,
nie przekazuje się współczesnemu pokole-
niu tego, co wartościowi i pracownicy
ludzie napisali, zdziałali, uczynili. Przy-
kładem może być zmarły w lutym br.
Kazimierz Bleszyński — filozof, tłumacz,

dramatopisarz, prozaik, działacz niepo-
dległościowy. Nazwiska jego nie znaj-
dziemy w **Wielkiej Encyklopedii Powsze-
chnej**, ani w czterotomowym **Słowniku
Współczesnych Pisarzy Polskich** pod re-
dakcją Ewy Korzeniewskiej. Jedyne Le-
ślaw Bartelski w swoim jednotomowym
leksykonie **Polscy Pisarze Współcześni**
nie zapomniał o Bleszyńskim, poświęca-
jąc mu zresztą niewiele uwagi.

Kazimierz Bleszyński mieszkał w Ło-
dźu w słynnym (z dobrego i złego) Do-
mu Literatów. Zналиśmy go wszyscy, choć
nie wszyscy bywaliśmy w jego gościn-
nym mieszkanku (pokój z kuchnią na
pierwszym piętrze), w którym każdego

z zaprzyjaźnionych z nim pisarzy podej-
mował lampką wermutu. Pana Kazimie-
rza odwiedzałem często, w czasie tych
odwiedzin opowiadał wiele o sobie i
swoich przodkach, przypominał ludzi,
książki, wydarzenia. Ponieważ niektóre
rzeczy notowałem, mogę dziś podać garść
szczegółów biograficznych, godnych, jak
sądzę, zapamiętania. Wprawdzie Bleszyń-
ski jest autorem ciekawej książki wspo-
mnieniowej „O mnie i nie o mnie”, w
której nie poskąpił nam wiadomości o
sobie, ale przecież i w tym wizerunku
własnym nie powiedział wszystkiego.

Kazimierz Bleszyński urodził się 1 ma-
ja (w niedzielę) 1881 roku we wsi Staw,
gmina Gruszczycze, na ziemi wieluńskiej.
Przez wiele lat rodzice jego mieszkali w
Zeliszawie pod Blazkami. Ojciec był
prawnikiem, w wojsku dosłużył się stop-
nia rotmistrza. Praszczur Pana Kazimie-
rza, Tomasz Bleszyński, o którym można
znaleźć nieco informacji w „Rozwoju
narodowości współczesnej” Marceliego
Handelsmana, zmarł podczas polowania,
mając równo lat sto. Upadłszy wraz z
koniem na gołedzi doznał złamania biodra,
przyplacając je życiem. Działo się to
na niewiele lat przed wybuchem Po-
wstania Listopadowego.

Kazimierz Bleszyński ukończył III gim-
nazjum w Warszawie, studia przyrodni-
cze podjął na Uniwersytecie Warszaw-
skim, skąd po jakimś czasie wydalono
go za udział w pracach konspiracyjnych.
Karę więzienną odbywał wraz ze zna-
nym działaczem socjalistycznym Felik-
sem Perlem, po czym skazany na bani-
cję opuścił Polskę. Studia filozoficzne
kontynuował w Berlinie, Lipsku i Hei-
delbergu, kilka lat mieszkał w Paryżu i
Brukseli. W czasie pierwszej wojny świa-
towej redagował pismo rewolucyjne
„Soldatskij listok”. W okresie między-
wojennym pisał do wielu pism, tłuma-
czył, redagował, działał. Kiedy w r. 1924
„Wiadomości Literackie” poświęciły swój
19 z kolei numer dwusetnej rocznicy
urodzin Immanuela Kanta, Kazimierz
Bleszyński ogłosił w nim znakomity esej
pt. „Magnus parens”.

Drugą wojnę światową przeżył Pan
Kazimierz w Warszawie. Po upadku Po-
wstania Warszawskiego wywieziono go
do Jędrzejowa, potem przebywał w Mie-
chowie i Krakowie. Po wojnie na miej-

sce stałego zamieszkania wybrał Łódź.

Liczne są prace Kazimierza Bleszyń-
skiego, wydane osobno i rozsiane po cza-
sopismach polskich i zagranicznych. De-
biutował w r. 1900 tłumaczeniem rozpra-
wy Labbeo „Cytologia doświadczeń”. W
r. 1912 ogłosił studium „Monizm a filo-
zofia”. Przetłumaczył „Wstęp do meta-
fizyki” Bergsona. Znając biegle angiel-
ski, francuski, niemiecki i rosyjski obra-
cał się swobodnie po obszarach myśli i
literatury europejskiej. Po r. 1945 dał się
poznać jako tłumacz dzieł Marksa („Nę-
dza filozofii”), Lenina („Zeszyty filozof-
iczne”) Mehringa, Łomonosowa, ale tak-
że i Dostojewskiego („Młodzik”). Napisał
i wystawił dwa dramaty: w r. 1917 „Ba-
dyle i paki” w warszawskim Teatrze
Rozmaitości, w 1921 r. „Skromną Hankeę”
w łódzkim Teatrze Miejskim za dyrekcji
Aleksandra Zelwerowicza. Wydawnictwo
Łódzkie opublikowało jego fantazję w
dwóch odsłonach „Szeński i owce”, zbiór
nowel „Wywoływanie Boga” oraz wspo-
mnianą już pracę autobiograficzną.

Kiedy dziś, po zamknięciu tego długie-
go, pracowitego i bujnego żywota, za-
stanawiam się, dlaczego Kazimierz Bleszyński
był tak mało znany, dochodzę do
wniosku, że w dużej mierze stało się tak
z jego własnej winy. Jego dewiza życio-
wa (do czego się przyznawał i o czym
wciąż nam przypominał) były słowa Kar-
tezyusza, napisane na odwrocie jego por-
tretu, pędzla Fransa Halsa: „Bene, qui
latuit, bene vixit”, co na polski wyklada
się mniej więcej tak: „Ten dobrze życie
przeżył, kto się dobrze ukrył”.

Kazimierz Bleszyński unikał rozgłosu,
nie zabiegał o popularność, obce mu było
autoreklamarskie wścibstwo. Dużo pra-
cował, ale umiał też czerpać pełnymi
garściami z uroków życia. Nie gromadził
nigdy tego, co napisał i ogłosił. Nie pozos-
tawił po sobie żadnego archiwum wła-
snych prac. Powiedział kiedyś: „Jeżeli
już coś napisałem i wydrukowałem, sta-
rałem się o tym nie pamiętać. Pochłania-
ły mnie nowe sprawy, którym poświęca-
łem swój czas i energię”.

Myślę, iż byłoby dobrze, gdyby, na
przykład, w Uniwersytecie Łódzkim po-
wierzono któremuś z młodych naukow-
ców napisanie pracy o Kazimierzu Bleszyńskim.
W pełni sobie na to zasłużył.

RODOWÓD społeczny tak
często wyznaczający
krąg tematycznych za-
interesowań literackich silnie
nie zaciążył na twórczości
Tadeusza Nowaka. Obrazy
wsi wyniesione z dzieciń-
stwa ostały się w świadomości
autora jako jedyny, godny
podziwu i powielania aspekt
rzeczywistości. W
kreowanym przez niego
świecie przedstawień realia
wiejskie pełnią swoistą
funkcję: nie są jedynie literackim
ornamentem, ozdobi-
nikiem wiersza, natomiast
ich przywołanie świadczy o
próbie wskrzeszenia, i — w
drugim etapie — uniesmier-
telnienia tego, co trwa naj-
żywiej w podaniach i legen-
dach wsi. Podmiot liryczny
nie stanowiąc dystansu ze
swoimi wytworami, a więc
obrazami i „egzystującymi”
w nich postaciami stara się
raczej znieść różnicę między
sobą a wytworzonym przed-
miotem. W ten sposób stwa-
rza złudzenie, iż to tylko
wyobraźnia ludowa przema-

wia do nas w postaci pieśni,
kołęd i zaklęć magicznych.
„Psalm”) są tomem
wierszy, w których powyż-
sze uwagi znajdują swoje
potwierdzenie, mimo iż mamy
do czynienia w nich,
również z inną płaszczyzną
rzeczywistości. Motywy bi-
blijne, które spajają całość
tomu są momentem jak naj-
bardziej styczonym z wyo-
braźnią ludową, a nawet z
nią zrośniętym organicznie.
Dlatego też postacie biblijne
przekształca ona na wzór
umysłowości pogańskiej,
która stwarzała swoich bo-
gów jako podobieństwo do
osób, bądź zjawisk i przed-
miotów: „uciekał anioł nagi
jak rówieśnik” (Psalm dzie-
cinny), „Bóg od myszy
mniejszy / i tego Boga kotna
mysz” („Psalm o białej bro-
ni”), „syn Boży ma myśla-
dłoń, myśli lud” („Psalm
stajenny”). Ostatnie przykla-
dy świadczą o tym, iż groza
i potęga przestaje emanować
od wielkich istot. To ich
uczłowieczenie i zbliżenie

JÓZEF DUK

W przyzmacie wyobraźni

doprowadza następnie do
prowokacji i walki z nimi.
Są to jak gdyby echa leś-
mianowskich „Trupiełów”.
Jednakże u Nowaka walka
realizuje się poprzez powrót
w mityczny czas rajski, pod-
czas gdy Leśmian ustawia
swego buntownika we
współczesności. Wśród reali-
zacji mitu biblijnego na
pierwszy plan wysuwa się
motyw męczeństwa i odku-
pienia (zwrócił na to uwagę
S. Barańczak). Już nie tylko
symbol męczeństwa, krzyż
i przybity do niego Chrystus,
nie tylko śmierć Abła, ale

cały świat żyjący: zwierzęta,
rośliny i to, co jest tylko
źródłem życia, woda, ku
śmierci idące zdają się po-
twierdzać ważki i organizu-
jący całość świata stwarza-
nego moment ofiary. Pojmo-
wana w sensie staro czy
nowo testamentowym jest
wyrazem dziękczynień i
przebłagań przedmiotem,
od którego człowiek czuje się
zależny. I właśnie w tym
motywie, motywie ofiary
spotykamy najczęściej ele-
ment wierzeń pogańskich
zrośnięty z wiarą chrześci-
jańską: dla chrześcijanina

znamienna jest ofiara du-
chowa, namacalne zaś dary
składane bogom są właści-
wością duszy pogańskiej.
Ażebym silniej uwydatnić
„krwawe modły” autor bu-
dował obrazy na zasadzie
gwałtownych kontrastów i
dysonansów. W atmosferę
spokoju i łagodności sielan-
kowych pejzaży wprowadza
element brutalności, te same
przedmioty, które z taką
troskliwością opisuje, ukazu-
je następnie w postaci oka-
lenczonej, czy wręcz zniszczo-
nej.

Pozostawanie w sferze

wyobraźni ludowej narzuciło
poezie nie tylko określone
problemy tematyczne, ale
również wybór swoistych
metod artystycznych. Wąt-
stwa oniryczna tej poetyki
objawiająca się w kreacjach,
na wzór marzeń sennych
jest konsekwencją ludowego
myślenia, dla którego cha-
rakterystyczne są: alogiczna,
baśniowa motywacja, łącze-
nie się ze sobą ułamków wi-
zji sennych, podarń i rzeczy-
wistości otaczającej. Temu,
jakoby świat wyobrażeń Tadeusza
Nowaka tworzony
był na zasadzie surreali-
stycznej metody écriture
automatique przeczy udział
świadomości w kreowaniu
obrazów. Dlatego też budo-
wa metafory dalekiej, łącze-
nie obrazów przynależnych
do innych pól asocjalnych są
wynikiem swoistej funkcjo-
nującej w umyśle poety
mentalności ludowej.

*) Tadeusz Nowak: PSALMY.
Wydawnictwo Literackie, Kra-
ków 1971, wyd. I, ss 63.

Przeszłość i terażniejszość

Prawda, że autor zazna-
czył na wstępie, iż „pisanie
wspomnień nie jest rzeczą
łatwą. Piszący powinien sta-
le pamiętać, że jest tylko do-
stawcą źródeł dla przyszłych
historyków i nie powinien
ich wyręczać. Obowiązkiem
jego jest tylko wierne foto-
grafowanie własnych poglą-
dów, uczuć i działań w opi-
sywanej przeszłości. Stara-
łem się trzymać tej reguły”.
Owe zapewnienia o dążeniu
do ścisłego obiektywizmu re-
lacji, do wiernego odtworze-
nia swoich sądów w takiej
postaci, w jakiej formowały
się one w konfrontacji ze
zmieniającymi się realiami
politycznymi, po przeczyta-
niu „Wspomnień” wybitnego
ekonomisty i działacza pań-
stwowego Feliksa Młynar-
skiego (PWN, 1971) wydają
się być pozą. Mamy bowiem
do czynienia z pamiętnikiem
ultrasubiektywnym, ba, miej-
scami wręcz egocentrycznym,
który na pewno w sposób

pełny zdaje sprawę z zapa-
trywań autora, jednakże
tych, do jakich doszedł on
po upływie wielu lat, wów-
czas, kiedy zdecydował się
na spisanie swych wspom-
nień. Wypada w pełni zgo-
dzić się z autorem przedmo-
wy do pamiętników Młynar-
skiego Andrzejem Garlickim,
że są one „szczególnie sub-
iektywne. Lata, które minę-
ły od opisywanych wydarzeń
utwierdziły autora w prze-
konaniu, że miał on zawsze
rację, że jego przewidywa-
nia przyszłości były z regu-
ły słuszne. Charakterystycz-
ny dla autora egocentryzm
powoduje, że skłonny jest
on powiększać swą rolę w
opisywanych wydarzeniach”.
Ponieważ jednak rola ta
bywała niekiedy wybitna,
wspomnienia F. Młynarskie-
go, przy całym ich subiekty-
wizmie, są zarówno pasjonu-
jącą lekturą, jak dziełem o
znaczących wartościach po-
zawczych. Odnosi się to w

szczególności do czterech
grup zagadnień, zresztą nie-
równej wagi.

Pierwsza — to udział
autora w działalności organiza-
cji narodowo-niepodległości-
owych, w okresie poprzedzają-
jącym I Wojnę Światową
oraz podjęta przezeń pod-
czas wojny propagandowa
podróż do Stanów Zjedno-

wiąże się z działalnością
Młynarskiego, cieszącego się
opinią poważnego eksperta
od spraw finansowych na
arenie międzynarodowej, w
pracach Komitetu Finans-
owego Ligi Narodów, w któ-
rym był polskim delegatem.
Wreszcie czwarta, ostatnia
już i niewątpliwie najbar-
dziej kontrowersyjna grupa

kreśla Andrzej Garlicki. —
Uzyskał następnie dla tej de-
cyzji akceptację generała
Sikorskiego. Była to najtrud-
niejsza decyzja w życiu Feliksa
Młynarskiego. Podej-
mując ją musiał godzić się
na współpracę z okupantem.
Prawda, że jedynie gospo-
darczą, prawda, że w rezul-
tacie aprobowaną przez gen.
Sikorskiego — ale przecież
współpracę. Podpis Młynar-
skiego figurował na bankno-
tach, które miały cechy pol-
skie, ale wydawane były
przez okupanta. Nazywano
je, od jego nazwiska „mly-
narkami”. Mimo wszystkich
sabotażowych aspektów swej
działalności, firmował prze-
ciw instytucji służącej reali-
zacji celów III Rzeszy”.

Prawda, że historycy dzie-
jów najnowszych, którym
wypadło zająć się działalno-
ścią „Banku Emisyjnego w
Polsce”, emitującej walutę
w tzw. Generalnej Gu-
berni.

Pamiętnik ultrasubiektywny

czonych. Druga — to dzieje
stabilizacji walutowej w
Polsce w latach dwudzie-
stych i udział Młynarskiego
w zagranicznych pertraktac-
jach pożyczkowych. Na
szczególną uwagę zasługują
tutaj wskazania na ogólniej-
sze, teoretyczne przesłanki
różnych stanowisk, reprezen-
towanych wówczas przez ko-
ła polskiej i zagranicznej fi-
nansjery oraz ekonomistów.
Trzecia grupa zagadnień

zagańnię, mianowicie tych,
które wiązały się z działal-
nością F. Młynarskiego w
„Banku Emisyjnym w Pol-
sce”, okupacyjnej instytucji
bankowej, emitującej walutę
w tzw. Generalnej Gu-
berni.

jeszcze rozstrzygnięty — czy
powołanie do życia „Banku
Emisyjnego” nie było mimo
wszystko mniejszym złem,
niż to, jakie przyniosłyby in-
ne rozwiązania problemu
walutowego, jakie okupant
musiałby niechybnie podjąć.
F. Młynarski, broniąc się
przed zarzutami jakie moż-
na by doń kierować, repre-
zentuje to właśnie stanowis-
ko, do którego z history-
ków zdaje się przychylić za-
równo Czesław Madajczyk,
jak również po części także
i autor przedmowy do
„Wspomnień” Andrzej Gar-
licki. Podkreśla jednak, że
w opinii polskiej czasów
okupacji decyzje i działania
Młynarskiego nie były apro-
bowane. Nie czas był wtedy
na drobniogowe analizowa-
nie czy działania Młynar-
skiego zgodne są i na ile z
kanonami etyki. Liczyło się
dla opinii powszechnej jedno
— współpracował z Niemca-
mi. Czytając okupacyjną
część wspomnień Młynar-
skiego pamiętać trzeba o ca-
łej złożoności spraw tu opi-
sywanych.

JÓZEF GRZELAK

Z woleja

Dawno temu ktoś zauważył, że każdy medal ma dwie strony — obydwie różne. Dzięki temu odkryciu ilość porzekań wzrosła o jedno, z upodobaniem stosowane przy okazji tzw. rozmów o życiu. Medal olimpijski nie różni się pod tym względem od innych, również posiada dwie różne strony. I ten złoty Wojtko Fortuny z Sapporo też.

Punktualnie o godz. 11 rano, w czwartek 17 lutego, wyciągnięty jak cytryna wyszedłem z autobusu nr 175, który przed portem lotniczym na Okęcie wyrzucił z siebie kolejny tłumek, przybyły tu, by powitać złotego medalistę Igrzysk Olimpijskich. Medalista w tym czasie bujał w obłokach (dosłownie) gdy wraz z grupą kolegów po aparacie, kamerze, mikrofonie i piórze usiłowaliśmy przekonać starszą panią w granatowym fartuchu, strzegącą oszklonych drzwi prowadzących w głąb budynku o potrzebie wejścia do środka. — Ja już mam dość tych żartów — powtarzał po raz nie wiem który pan z TV, dzierżąc na ramieniu ogromną kamerę. Wreszcie jakiś litosiwy major WOP uchylił nieco drzwi. Omal nie zginął w trakcie wykonywania obowiązków służbowych i to strącony nogami ludzi, którzy powinni mu być w końcu wdzięczni.

W chwilę później zostaliśmy poinformowani, że na płytę lotniska nikt nie wejdzie. — Nie wpuścili matki Fortuny — z satysfakcją stwierdził młody człowiek, obciążony trzema aparatami fotograficznymi. — I tej kapeli z Zakopanego też — dodał pan z imponującą długością mikrofonem. Za szklanymi drzwiami klebił się tłum. U nas było nieco spokojniej.

W chwili po lądowaniu samolotu wiozącego ekipę, na płycie lotniska znalazło się ponad 1.000 osób. Fortuna na stopniach samolotu. Fortuna na ramionach młodzieży ZMS. Fortuna rozdający autografy. Ogólna euforia. Szpaler milicjantów chroni tego młodego człowieka przed rozdeptaniem przez tłum szczęśliwych kibiców. Chwilami przypomniał mi to przejazd Czterech Pancernych i Psa przez ulice Łodzi. Chwilami ataki na Klossa-Mikulskiego, sędziującego mecz Prasa — Milicja. Rudy medalista jest nadzwyczaj poważny. Uśmiechnie się dopiero po południu, kiedy odznaczony zostanie Zło-

tym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką im. Janka Krasińskiego, Złotym Medalem za Wybitne Osiągnięcia Sportowe oraz kilkoma pomniejszymi odznaczeniami.

Mamy więc pierwszą stronę medalu. 111 metrów, dwa medale (za Igrzyska i mistrzostwo świata), powitanie mistrza, pełnia szczęścia.

Gdzie jest pozostała ekipa? Chylnym, boczkim, nie zauważeni przez kibiców, witani tylko przez rodziny wychodzili odziani w swoje smutne, czarne, jak by w

przebrały nawet z zawodniczkami CSRS, z którymi nie tak dawno wygrały. Nie powiodło się parze sportowej, hokeiści wykonali zaledwie plan minimum. Nie czarujmy się złotym medalem Fortuny, spójrzmy na smutną rzeczywistość, na nasze sporty zimowe. Już prawie w niczym nie liczymy się na świecie.

Blask Wojtkowego złota zakrył ciemne strony naszego występu w Sapporo. W złotych promieniach już w tej chwili ukrywają się ci, którzy za fatalny stan pol-

opinią tzw. fachowców nie mieli jechać. Jako argument podawano przeważnie, że są... za młodzi. To, co w innych krajach jest atutem, u nas jest przeszkodą. A ile lat mają złoci medalisci z Sapporo: dwukrotna medalistka w konkurencjach zjazdowych Szwajcarka Nadig, Hiszpan Ochoa — zwycięzca slalomu specjalnego, czy łyżwiarka Pflug, również złota medalistka? Żadne z nich nie ukończyło 20! Prześledźmy chociażby wyniki ostatnich mistrzostw Polski w skokach. Jak pięknie skakał 16-letni Bobak, czy nieco od niego starszy Janik.

W naszym społeczeństwie, wśród młodzieży uprawiającej sport tkwią ogromne możliwości. Udowodnił to chociażby Fortuna. Natomiast podstawowe braki istnieją wśród kadry trenerskiej i działaczy. Hojną ręką wypuszcza się najlepszych trenerów za granicę, by pracowali na sukcesy innych państw, natomiast u nas, aby rzeczywiście pojechał na Igrzyska wartościowy zawodnik nie decyduje trener, tylko prasa i opinia publiczna. Daleko tak nie zajdziemy.

Odwaga, upór i zawziętość Wojtko bardzo mi imponują. Udowodnił to, co chciał udowodnić i to udowodnił ludziom, którzy sprzeciwiali się jego wyjazdowi (nie wiem, czy w tej chwili znalazłby się wśród działaczy chociaż jeden taki, który by potwierdził, że się sprzeciwiał). Fortuna zaimponuje mi jednak jeszcze więcej, jeżeli wykaże swoją odporność na owe dowody uwielbienia i entuzjazmu, z jakimi stale się spotyka. Oby jego silny organizm i to wytrzymał. Szczególnie gło-

MIECZYSLAW STOLARSKI

Dwie strony medalu (olimpijskiego)

przewidywaniu kleski zaprojektowane kożuski, reprezentacyjne czarne swetry — szmatki jeszcze od czasu do czasu mignęły gdzieś w tłumie. Wyjechało 47 zawodniczek i zawodników, 46 w sumie zdobyło 4,5 pkt., a jeden, który ledwie zmieścił się w ekipie zdobył 7 pkt. I tu jest ta druga strona medalu.

Praktycznie rzecz biorąc ponieśliśmy na Igrzyskach Olimpijskich w Sapporo kleskę. Liczyliśmy na „Alusia” — przeliczyliśmy się, liczyliśmy na saneczkarzy i saneczkarki — zawiedliśmy się, niby nasze biegaczki mogły walczyć o punkty —

skiego sportu odpowiadają. W czasie konferencji prasowej na lotnisku usłyszałem z ust osoby, kierującej polską ekipą w Sapporo i w ogóle polskim sportem stwierdzenie, że... jest dobrze, bo Fortuna. Tak samo mówiono na spotkaniu w Polskim Komitecie Olimpijskim. Cieszymy się więc, jest dobrze. A czy nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że wszystkie medale na Igrzyskach Zimowych, zdobyte do tej pory przez Polskę, wywalczono zostały przez zawodników rezerwowych, w ostatniej chwili włączonych do ekipy, Groń-Gąsienica, Seroczyńska i Fortuna wg



TADEUSZ SZEWERA

IN VINO FERITAS



„Musiałby to świat zagnąć,
Zebym miał winiarnię minąć:
A gdy winka posmakuje,
To se pofoguje!”

Tak brzmi jedna ze zwrotek piosenki, śpiewanej przez zielonogórzan

nie tylko podczas winobranijowych zabaw. Bo tak się zazwyczaj „nie-winnie” zaczyna. Posmakujesz troszeczkę, a sięgniesz po beczkę. Zaczyniesz od troszeczek, a legniesz u beczki!

Tak się też „nie-winnie” zaczęło w ową noc księżycową, kiedy to gromowładny Zeus przybrał postać ziemsko przystojnego dżentelmena i złożył wizytę przepięknej Semele w jej panińskim łożu. Działo się to oczywiście w czasach mitycznych, przeto urodziła, mityczna Semele, ze zrozumiałych względów była córką również mitycznego założyciela Teb, króla Kadmosa i jego mitycznej żony Harmonii, która to za matkę miała mityczną boginię Afrodytę.

W tym wyjątkowo korzystnym rodzinnym układzie mogła być Semele najszczęśliwszą z ziemskich istot, albowiem Zeus obdarzył ją taką namiętną miłością, o jakiej żadnemu śmiertelnemu człowiekowi się nie śniło w najśmielszych marzeniach, a co dopiero w toku realnej, a tak nam znanej codzienności małżeńskiego pożycia. Lecz Semele była przede wszystkim kobietą i to kobietą o nienasyconej żądzy zaspokojenia... swojej ciekawości.

— Kim właściwie jest ten facet, który przychodzi w księżycowe noce i pieści tak, jak nikt tego dotąd nie czynił — myślała o każdej godzinie i każdego dnia. Na dodatek jeszcze tę grzeszną ciekawość podsycały w niej wstrętne i złośliwe, a przy tym potwornie zazdrosne trzy jej siostry, które notabene znajdowały się pod szczególnym wpływem bogini Hery, wybitnie zazdrosnej żony boga Olimpu. Tak więc, gdy pewnej nocy Zeus — tym razem jako urodziwy komiliton Olimpijskiego Kółka Łowieckiego — obsy-

pywał wdzięki Semele namiętnymi pocałunkami, ta przystąpiła do generalnego szturmu:

— O, panie mój! Będę cię miłować jeszcze goręcej, ale wyjaw mi prawdę: bóg jesteś, czy solidny człowiek?

Zrozumiał Zeus — myśliwy, że za sprawą Hery nadszedł kres miłosnych jego schadzek i miłosnych igraszek. Lecz, jak przystało dżentelmenowi, który oknem wchodzi do dziewczęcej sypialni, nie wypadło mu odmówić prośbom urodzivej panińki. Cóż więc uczynił? Ano, zniknął nic nie mówiąc. I w tym momencie w Tebach i w całej okolicy rozszalały się żywioły. Huczaly gromy, wzburzyło się morze. Przerazona Semele wyskoczyła z łoża, wybiegła jak nieprzytomna na podwórko. Nie miała teraz wątpliwości, że jej kochankiem był sam Zeus Wszzechwładny, który ciskał w złości pioruny na prawo i lewo.

A potem? Potem z woli Zeusa spłonęła jak zapalka. Tylko, że troszkę wcześniej urodziła prześlizgniętego bobaska. No i stało się! Bo tym słodkim, a zarazem przewrotnym dziećmiakiem był nie kto inny, jak właśnie syn Zeusa i Semele, rozkoszny Dionizosek, Bacchusem także zwany. Onże to, gdy tylko od ziemi odrósł, jął się do organizowania bacchanaliów, winorośli po świecie rozniósł i nauczył śmiertelnych nieprzytomnej sztuki piecia boskiego trunku, przyrządzanego z gron witis vinifera. I jeszcze tak złośliwie uczyniło to boskie

dzieciatko, że człowiek, z braku winogron, z każdego innego owocu także wino wycisnie, bowiem ma i mieć będzie zawsze chęć do tego trunku, który życie do krwi, a wesoleść do głowy, wprowadza. I co by nie powiedzieć, to rzeczywiście każdy z nas lubi sięgnąć po szklance napelnioną złocistym lub rubinowym płynem. Ale tak po prawdzie, to winę za ten stan ponoszą przede wszystkim kobiety. Tak, kobiety! Oczarowane urodą Bacchusa-Dionizosa gotowe były uczynić dlań wszystko, czego zapragnął. Wielbiły go, tańczyły na jego cześć i sącząc z pucharów wino, sączyły rozkosz jaką daje życie.

Protestujecie, białogłowy? A cóż zrobiła mityczna Agaue, matka Pentusa? Zabiła rodzzonego syna dołknięta szalem dionizyjskich uciech! A cóż najlepszego uczyniła kapłanka Pacula Aninia? Wprowadziła kult Dionizosa do Rzymu! To ona, wraz z przeznaczonymi rzymiankami, wielbiła trzy razy do roku bożka wina i uciech doczesnych, zachowując przy tym ścisłą tajemnicę i nie dopuszczając do zabaw mężów i młodzian pełnoletnich.

Oczywiście z czasem, jak wynika z przekazów, znudziły się kobietom jednopłciowe tańce i jednopłciowe uczy zakrapiane boskim nektarem. Zaprośmy więc mężczyzn do udziału w uwielbieniu boga życia, Dionizosa, i odłóż bacchanalia stały się bardziej bliskie ludzkiej naturze, bowiem dostarczały dodatkowych

RAPORTU Z BERLINA NIE BĘDZIE

Dalszy ciąg ze str. 4

Widzę tu również pewną szansę dla naszych regionalnych przedsiębiorstw turystyczno-wypoczynkowych, na przykład od wielu już lat przedsiębiorstwo Warszawa — Olsztyn usiłuje bezskutecznie rozszerzyć sezon turystyczny na Mazurach z 2—3 do 4—5 miesięcy. Może warto zaproponować turystom z NRD, by już w maju i ewentualnie jeszcze we wrześniu zechcieli podziwiać uroki jezior. Oczywiście po odpowiednio skalulowanych cenach, które byłyby korzystne dla obu stron.

Decyzja o otwarciu granicy ma niewątpliwie charakter polityczny, ale równocześnie wprowadza w nasze wzajemne układy ożywienie gospodarcze i bez fałszywego wstydzie musimy myśleć, jak zdykontować ją ekonomicznie. Na milionerów nie mamy co czekać, trzeba postawić na turystykę masową. Zresztą ze Szwecji też Krezusi nas nie odwieżdżają, tylko do kerzy, udający, i to z pozytywnym skutkiem, bogaczy.

Pobył mój w NRD zbiegił się w czasie akurat z wycieczką lodzian, która specjalnym pociągiem wyprawiła się do „Expressem Ilustrowanym” do Berlina. Należy przyznać, że wyprawa łódzka stała się tu sensacją dnia. Dość powiedzieć, że na dworcu witała i żegnała łódzką wycieczkę dęta orkiestra berlińskich listonoszy. Grupa naszych przyjadł z „Expressem” wpadła na dobry pomysł i zrobiła sporo pozytywnej propagandy. Prasa berlińska pisała o tym wydarzeniu na pierwszych stronach przez cały tydzień. Ukazało się w tamtejszych gazetach wiele reportaży z Łodzi, no i oczywiście, jeszcze więcej wywiadów z Adamem Bienkowskim, zastępcą redaktora naczelnego, który stał się w Berlinie w owych dniach postacią nr 1. Popularnością zdystansował go jedynie Polikarp. Przy okazji zobaczyłem dwa najlepsze kabarety w tym mieście Pierwszy — to kabaret „FriedrichstadtPalast”, drugi — to „Zwyy Express” z Łodzi. Pierwszy był na poziomie drugiego drugi — na poziomie pierwszego Ot, co! Na drugi dzień po wstępach „Zywego Expressu” w „Neues Deutschland” ukazała się wzmianka pt. „Zespół polski oszołomił”.

KAROL BADZIAK

Konieczność dokonania gruntownych przekształceń w dziedzinie oświaty i kultury w niepodległej Polsce, Polska Partia Robotnicza wysuwała od początku swego istnienia. Świadczy o tym pierwsza odezwa programowa Partii, opracowana 5 stycznia 1942 roku, której fragment brzmi: „PPR wzywa do walki o Polskę... w której nauka będzie dostępna dla wszystkich”. Tak naturalnie brzmiące dziś słowa: „nauka dostępna dla wszystkich”, sformułowane w tamtej rzeczywistości historycznej, zapowiadały rewolucję kulturalno-oświatową, zapowiadały także konieczność podjęcia trudnego wysiłku odbudowy tego, co zniszczyła wojna.

Podstawą założeń polityki kulturalnej PPR stała się, twórczo stosowana w swoich polskich warunkach, leninowska teoria rewolucji kulturalnej, głosząca nierozdzielny związek polityki, ekonomiki i kultury oraz podkreślająca wiodącą rolę rewolucji oświatowej w procesie demokratyzacji kultury. Leninowskie widzenie ciągłości rozwoju kultury, konieczność kontynuacji jej postępowych nurtów i zarazem krytyczny stosunek do tradycji w kulturze w warunkach załamania się przedwrześniowych mitów, nabrało już w czasie okupacji, szczególnej wagi i aktualności.

Opierając się na wypracowanym przez Lenina programie przebudowy kultury, PPR korzystała także z dorobku ideowego KPP, z przemysłów i publikacji działaczy PPR i innych postępowych działaczy konspiracyjnych, korzystała wreszcie ze znajomości radzieckich doświadczeń kulturalnych, niesionej przez Polaków wracających z I Armią ze Związku Radzieckiego.

Pozwoliło to już w listopadzie 1943 r. sformułować podstawowe wytyczne polityki kulturalnej Polskiej Partii Robotniczej ogłoszone w deklaracji programowej „O co walczymy”?

Program ten zapowiadał stworzenie bazy materialnej kultury „...przez budowę nowych szkół, uniwersytetów, domów ludowych, bibliotek itp.” oraz demokratyzację całego systemu nauczania i wychowania.

Tworząc zasady polityki kulturalnej, PPR od początku doceniała znaczenie pozyskania dla swego programu najszerszych kręgów inteligencji, a zwłaszcza twórców, od których w ogromnej mierze zależał przyszły kształt i treść kultury w wolnej Polsce. Wielu inteligentów znalazło się w Partii od początku jej istnienia. Inni byli jej radykalnymi sprzymierzeńcami. Ale nie brakowało także zdecydowanych przeciwników programu Partii. Dziś wydawać by się mogło, że tragiczna lekcja wojny, nawet już samych jej pierwszych tygodni, powinna była skłonić do zdecydowanej zmiany orientacji politycznej większość ludzi dalekowzrocznych, a więc i twórców, od których zwykło się oczekiwać naturalnego głębokiego zatroskania o przyszłość ojczyzny. Tak się jednak nie stało. Wiele osób trzymało się kurczowo mitów, którymi żyło wcześniej i zdawało się nie dostrzegać nieodwracalnego załamania sił, z których one wyrastały. Polska Partia Robotnicza była w pełni świadoma takiego stanu rzeczy, i żywiła głębokie przekonanie, że jej konsekwentne działanie na rzecz odzyskania niepodległości i przebudowy ustroju w interesie większości narodu stanie się czynnikiem konsolidującym wokół programu Partii coraz szersze kręgi społeczne. Potwierdziła to potem historia lat powojennych.

Do środowiska inteligencji docierała Partia również poprzez podziemną prasę,

brozury oraz bezpośrednio — w formie odczytów, dyskusji, spotkań, prowadzonych przez działaczy partyjnych. Przedmiotem tych dyskusji były nie tylko bieżące zagadnienia polityczne i przyszłe reformy społeczne, lecz także teoretyczne problemy ideologiczne, sprawa wyboru postępowych tradycji narodowych oraz zagadnienia teorii kultury i sztuki. Te bogate, jak na czas wojny, formy pracy partyjnej przygotowały szerokie kręgi inteligencji do przychylnego przyjęcia całego programu Partii, a w szczególności programu demokratyzacji kultury. Program ten znalazł pełne odzwierciedlenie w Deklaracji Krajowej Rady Narodowej z 1 stycznia 1944 roku. Ogłoszony w pół

JADWIGA ŁUŻYŃSKA-DOROBOWA

POLITYKA KULTURALNA PPR

roku później Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego stwierdzał m. in.:

„Jednym z najpilniejszych zadań PKWN będzie na terenach oswobodzonych odbudowa szkolnictwa i zapewnienie bezpłatnego nauczania na wszystkich szczeblach. Przymus powszechnego nauczania będzie ściśle przestrzegany. Polska inteligencja, dziesiątkowana przez Niemcy hitlerowskie, a zwłaszcza ludzie nauki i sztuki, zostaną otoczeni specjalną opieką. Odbudowa szkół zostanie natychmiast podjęta”.

Program demokratyzacji oświaty i kultury znalazł także odbicie w Statucie PPR, uchwalonym na I Zjeździe Partii w grudniu 1945 r. Zjazd ten podkreślił potrzebę i konieczność kontynuowania podjętej pracy z nauczycielstwem. Podkreślił także, że Partia ceni sobie sojusznika również w niezdecydowanym jeszcze marksistowskiej, ale radykalnej, laickiej inteligencji. W oddziaływaniu na tę chwiejną ideologicznie, lecz w sumie postępową część inteligencji, Partia wzięła pewną rolę zaangażowanej społecznie młodzieży szkolnej i akademickiej, szczególnie — młodzieży zrzeszonej w ZWM i innych ideowych organizacjach.

Dla pełnej i efektywnej realizacji programu Partii potrzebne jednak były i nowe kadry inteligencji. Wymagał tego plan 3-letni, a potem 6-letni. Dlatego tak szybko rosły szkoły wszystkich szczebli.

Pełna i sprawna realizacja całego programu rewolucji kulturalnej wymagała jak najszybszego stworzenia przez Partię odpowiednich środków masowego przekazu. Stworzenia — bo i zniszczenia wojenne były tu ogromne i nie można było odbudowywać ich wedle modelu międzywojennego. Wszystkie więc instytucje oświatowe i kulturalne włącznie z wytwórniami filmowymi, wydawnictwami itd. — zostały uspołecznione, a tym samym wszelka produkcja materialna i twórczość du-

chowa w dziedzinie kultury przestały być domeną prywatnych interesów.

Od podstaw budowała Polska Ludowa prasa. Pierwsze numery „Rzeczypospolitej” drukowano w Chełmie — 23 lipca 1944 r. na ręcznej maszynie drukarskiej. A w końcu tegoż 1944 roku wychodziło już 37 pism, w rok później — było ich 376, w tym ukazujące się i dzisiaj „Szpilki”, „Przekrój”, „Twórczość”.

Uspołecznienie przemysłu poligraficznego (dekret z 3. I. 1946 r.) naślało prasie nową angę — czynnika podnoszącego świadomość i poziom kulturalny szerokich kręgów społecznych. Spełnieniu tej roli przez prasę służyły, między innymi, wysokie nakłady gazet i system kolportażu. Zniszczo-

powrót do rzeczywistego świata, o realizm. Ta droga przywiodła wielu pisarzy do tworzenia literatury społecznie zaangażowanej po stronie socjalizmu. Także w środowisku naukowym zrodził się wówczas ruch, dążący do przezwyciężenia naturalizmu w pojmowaniu człowieka, do rozumienia istoty ludzkiej, jako „procesu swoich czynów”.

O sile i atrakcyjności PPR-owskiej koncepcji kultury w odczuciu środowisk twórczych świadczy również fakt skupienia się większości najlepszych piór nie tylko wokół ogólnodemokratycznych pism, takich jak „Odrodzenie” czy „Twórczość”, lecz także wokół zdecydowanie marksistowskiej, wychodzącej wówczas w Łodzi, „Kuźnicy”. Polityka kulturalna tamtych lat była zjawiskiem dynamicznym. Była rezultatem ścierania się różnych tendencji wewnątrz społeczeństwa i twórczych dyskusji wewnątrz Partii. Jednocześnie miała ona charakter ideowo wyraźny i zdecydowany. Stanowiło to o jej prężności i sile.

Dzięki ogromnemu wysiłkowi PPR — podjętemu w trudnych latach wojny i po jej zakończeniu — został odbudowany i pomnożony dorobek kulturalny naszego narodu, Partia oddała go na twórczy użytek całego społeczeństwa. Polska Partia Robotnicza dopracowała się cennych doświadczeń w polityce kulturalnej. Doświadczenia te przejęła PZPR.

Prześledzenie dróg realizacji i rozwoju kierunku wytyczonego przez PPR w dziedzinie kultury przeraża możliwości krótkiej publikacji. Należy jednak dobitnie podkreślić, że główne założenia PPR były zawsze realizowane. Szczególnie zaś konsekwentnie i twórczo do najlepszych tradycji Polskiej Partii Robotniczej, w walce o socjalistyczny kształt naszej kultury, nawiązał grudniowy, VI Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.



rozkoszy. Po upływie każdego pięciu miesięcy, zbierali się rzymianie i rzymianki w gaju Semele u ujścia Tybru. Noc rozjaśniały pochodnie, płynęło z amfor wino, a Dionizos — unosząc się wśród gwiazd — siał na prawo i lewo swe boskie uśmiechy.

I byłoby wszystko bardzo pięknie, gdyby nie natura ludzka, która (od wieków to wiadomo) bardzo jest ulonna. Przeto bacchanalia przekształcały się stopniowo w orgie i orgietki, co spowodowało nawet (i to jest już pełna prawda historyczna) wielki proces sądowy w 186 roku przed naszą erą. Przed surowym rzymskim trybunałem odpowiadało karnie ponad siedem tysięcy oskarżonych, z których wielu skazano nawet na śmierć. Sąd dowiódł, że pod wpływem „upojenia boskim nektarem” dopuszczano się morderstw, zrad małżeńskich, przestępstw natury gospodarczej, a nawet zdrady politycznej, spiskując przeciw najwyższemu zwierzchnikowi i pomawiając ich o czyny nieetyczne. Jak z tego wynika, narozrabiał ten Dionizosek, niewąsko narozrabiał!

Toteż wcale dziwić się nie trzeba, że w czasach nowszych, co najważniejsi obywatele przestrzegali i nadal przestrzegają przed nadmiernym nadużywaniem win wszelkiego rodzaju, przed zbyt ochoczym zagładaniem do piwnic i winiarni, a nawet publicznie udzielają ostrzeżeń i rad wszelakich.

Gwoli sprawiedliwości wypada jednak zaznaczyć, że Dionizos niełatwo miał drogę do pełni sławy. Torował sobie ją z trudem, wędrując z wybrzeża trackiego do Grecji, potem do Rzymu, a potem dopiero do Europy centralnej, no i tym samym do nas. Z życzliwością dla jego koncepcji też różnie bywało. Najeleganciej zachowali się kapłani delficy, którzy doceniając szerszą się kult bogu wina i radości życia, uznali go równym Apollinowi i od tej pory poczuli dzielić rok pytyjski na dwie części: apollinijską i dionizyjską.

Trudno w tej chwili autorytatywnie powiedzieć, czy postąpili słusznie. Ale fakt ten pozostanie na wieki faktem, wiążącym się z kultem Dionizosa aż po dzień dzisiejszy. Dowody? Jeszcze trochę cierpliwości, ponieważ przed współczesnością pierwszeństwo ma historia. Otóż w czasach starożytnych istniały cztery święta, z tych dwa były najważniejsze: Dionizje Wielkie i Dionizje Małe. Wielkie, obchodzone w marcu i kwietniu, wiązały się z miasmami i dlatego nazwano je Miejskimi. Niesiono wtedy posąg Dionizosa z świątyni do gaju Akademosa (mitycznego herosa), gdzie odbywano nabożeństwo, a następnie uczutowano. A kiedy już nasycono ciało najwymyślniejszymi przysmakami, oddawano się rozkoszom duchowym. Podziwiano występy chóarów, przeżywano treści tragedii i komedii wystawianych na deskach

teatru i w ogóle kontemplowano sztukę. Z jednej więc strony nie dobrane się działo, że bez żadnego umiaru pito wino, z drugiej jednak pozytywnym zjawiskiem było obcowanie ze sztuką. To drugie przetrwało do naszych czasów pod postacią festiwali w Opolu, Sopocie, Kołobrzegu i Piktukowie Górny oraz pod postacią spotkań teatralnych: studenckich, ziem północnych, ziem południowych, ziem zachodnich itp., które — jak stwierdzono z całą odpowiedzialnością — nie mają nic wspólnego z negatywną stroną kultu Dionizosa. Oznacza to, że uczestnikom obcy jest smak, zapach i skutek picia wina. Dionizje Małe obchodzono w ostatnich dniach grudnia i pierwszych dniach stycznia na część otwarcia naczyni z młodym winem. Ponieważ głównie radowano się z tego powodu w wiejskich winnicach, przeto nazwano je Wiejskimi. Bawiono się przy tym na ludowo, odbywano procesje, przyjmowano z należnymi honorami aktorskie trupy wędrownie w nieopalonych świątlicach i urządzano najprzeróżniejsze zawody. Kto chciał skronie uwieńczyć wawrzynem, ten musiał stanąć do ostatecznego pojedynku. Polegał on na zręcznym utrzymaniu się na jednej nodze, stojąc na buklakach pełnych wina, namaszczonej oliwą.

Darmo by szukać w starożytnych księgach, jakie były rezultaty owych zmagani. Z doświadczeń najnowszych wiemy, że rzadko który utrzyma

się na jednej nodze jeżeli pokoszował wermutu, burgunda czy tokaju. Już starożytni Rzymianie powiadali: in vino feritas! W winie dzikość, szaleństwo! Naturalnie tylko wtedy, gdy używa się go w nadmiarze. Nam to nigdy nie groziło i nadal nie grozi, chociaż mamy własne winnice i niegorsze jabłokki wyrabiamy.

A skoro o nas mowa, nie zawadzajmy przypomnieć coś niecoś z historii polskiego winiarstwa. Niegorszą mamy kartę w tym względzie od Greków i Rzymian. Brak nam jedynie... mitów. Kto zaszczylił u nas winną latość — nie wiemy. Może kapłani, a może świeccy? Dostyć, że po raz pierwszy w roku 1314 kroniki już wspominają o zielonogórskich winnicach znajdujących się w posiadaniu ojców cystersów. W tym samym wieku zabrali się do plantacji winogron również zacił mieszczaństwo i przez bez mała sto lat ciągnęli z tej profesji niemalże zyski. Pewnego dnia przyszedł jednak mróz i vitis vinifera wymarzała. Całe szczęście, że smakowity trunek trafił znacznie wcześniej na stoły książęce i podbił (bez reszty) podniebienia oraz gardła najwyższych dostojników. Przedostatni Piast głogowski, Henryk IX, nie mógł pogodzić się z faktem, że w piwnicach stoją puste beki, a na stołach puste gasiory i w drugiej połowie XV wieku sprowadził nowe sadzonki winorośli. Zaledwie 20 lat upłynęło od tej historycznej daty, a winnice zielonogórskie dosłownie popłynęły (ta-

ki obfity plon wydały plantacje). Nie doczekał Piast Henryk tego wspaniałego dnia, w którym za jedno jajko oddawano 67 litrów wina. Mój Boże, cóż to były za czasy...

Ale nie zawsze tak było. Zdarzały się przecież klęski żywiołowe, ulewne deszcze, suche lata, plagi szarańczy, trafiały się także wojny. Najgorsze były ze Szwedami (oczywiście), ponieważ dziwny ten naród nie znał smaku wina i nie rozumiejąc, po co tyle krzewów porasta okolice Zielonej Góry, niszczył je w sposób bezmyślny, a wino zmagazynowane w piwnicach wypuszczał z beczek niczym wodę z rynny. Jest to fakt historyczny, zapisany w kronikach z 1631 roku ku przestrodze i rozwadze pokoleń.

Wbrew jednak Szwedom zielonogórskie winnice odradzały się, kwitły i wydawały owoce ku radości plantatorów oraz konsumentów, którzy zadowolenie swoje objawiali śpiewem, zabawą i uroczystymi godami. I tak oto, po wielu, wielu wiekach bacchanalia greckie dotarły na Ziemię Lubuską. Był to rok 1842. Poeci napisali wówczas wiele pięknych wierszy. Bardowie wyspiewali wiele wzruszających pieśni i ballad. Powszechnie chwalebno smak, zalety i siłę winnego grona. Odtąd tradycje winobranio-we przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Powiadał wielki Horacy: Vina ferre delectos olere mane camenas. Bojażby słodkie muzy od rana pachniały winem! I miał rację.

Nie wiem, czy uwierzycie...

JAK UPOLOWAĆ KOTA?

Mój pierwszy kontakt z polowaniem był następujący. Poszłam pewnego razu do znajomych, których nie zastałam w domu, na gospodarstwie został ich nieletni syn. Był bardzo zajęty polowaniem na kota. Kot przyczepił się do niezwykłego, na wszelki wypadek wskoczył na najwyższą półkę szafy-meblościarki, a chłopak budował piramidę z chybliwych stołków, żeby się do niego dostać. Znajac raczej przyjazne stosunki chłopaka z kotem zapytałam o co mu właściwie chodzi. Odpowiedział, że tato właśnie pojechał upolować kota, więc i on chciałby zrobić to samo. Zaproponowałam, żeby zapytał ojca jak się poluje na kota, a na razie zostawił zwierzę w spokoju. Zgodził się, bo był, nie mniej niż kot, zmęczony.

Przypomniała mi się ta historyjka kilkanaście dni, podczas oglądania teletur-nielu „Myśliwi”. Jak zwykle w teletur-nielach, przed kamerami zasiadli najlepsi, co w tym przypadku oznaczało zapewne najdzielniejszych, najwaleczniejszych i najlepiej znających prawo łowieckie. Nie wiem na pewno jaki był cel organizowania takiego teletur-nielu, ale zapewne chęć popularyzacji tego szlachetnego sportu i pokazanie jego humanitarnych wartości. Albowiem myślistwo jest to jedyny humanitarny sposób zabijania zwierząt. Myśliwi mają swój kodeks honorowy, swoją etykę, przekroczenie której może ich dozbawić praw łowieckich. Oto jedna z propozycji:

„Myśliwy zachowuje się w stosunku do zwierzęcy nieetycznie wtedy, gdy strzelając nie ma możliwości podniesienia zabitej sztuki, gdy rodzą i warunki, w jakich używa broni nie dają możliwości należytego trafienia strzelanej zwierzęcy (np. strzelanie śrutem do zwierzęcy plowej), gdy myśliwy nie dobił (nie wolno dobić kilami) zwierzęcy, do której źle strzelił, gdy nie poszukuje postrzałki, gdy przy strzelaniu do zwierzęcy nie daje jej szans ratowania się (np. strzela do leżącej zwierzęcy plowej, do siedzącego zajaca itp.). Zasad etyczne-

go zachowania się należy również przestrzegać w szczególności na polowaniach zbiorowych, w stosunku do współtowarzyszy i naganiaczy”.

Ponieważ nie wszyscy są zorientowani w słownictwie myśliwskim, warto wyjaśnić, że pod wdzięczną nazwą postrzałka kryje się zranione zwierzę, zwierzęyna płowa to sarna, łos i jelen. W myśliwskim słowniku więcej jest słów, które znaczą całkiem coś innego, niż by się mogło wydawać. Na przykład ambona, to podwyższenie, z którego myśliwy czatuje na zwierzę i strzela z niego, bynajmniej nie myślał przy tym o kazaniu na tematy umoralniające, pieczołliwa nazwa kota, nosi zajac, a krykucha, to nie smażyony placek, lecz oswojona kaczka, która wabi kaczory, by myśliwy mógł je zastrzelić. Farba to krew zwierząt łownych i tak dalej i dalej. Jak widać łowictwo unika słów drastycznych, co jest niewątpliwie oznaką kultury tego sportu.

Pewien znajomy myśliwy wyjaśnił mi, że jest to sport całkowicie humanitarny, bowiem nie strzela się do zwierzęcy siedzącego czy leżącego i w ten sposób daje mu się szansę ratowania i obrony. Przekonało mnie to całkowicie, bo przecież co innego zajac siedzący pod miedzą, a co innego wypłoszony ze swej kryjówki. Taki pędzyc na oślep zwierzę jest równorzędny do walki partnerem. Tak samo jak na przykład jelen, wywabiony z lasu dźwiękiem rogu imitującego do złudzenia głos innego jelenia. Biegnie on na pole walki dzielnie i ochotczo, by stoczyć pojedynk z równym sobie przeciwnikiem, który stoi na ambonie i celuje do niego z broni palnej. Szanse są oczywiście równe, bo jelen też ma strzelbę i ochotę na zabicie człowieka. Tak więc wabienie zwierząt za pomocą naśladowania ich głosów jest bezspornie etyczne. Wydaje się, że patrząc z takiej ambony na wojny, ocenić je można jako zjawisko nadzwyczaj humanitarne, albowiem tu przeciwnicy są uzbrojeni mniej więcej jednakowo i jednakowo

mają wobec siebie zamiary. Ale ambona ambonie nie równa, więc zostawmy takie insynuacje. Wszak wśród myśliwych spotykamy ludzi o wysokiej kulturze, a często i stopniu naukowym. Na przykład lekarzy, którzy przez cały tydzień ratując z samozaparcem życie ludzkie, w niedzielę, dla odprężenia jada sobie postrzelając do zwierząt. Jednego tylko zawodu nie znalazłam wśród myśliwych: zoologów. Fakt ten zapewne ma swoją wymowę.

Na razie myślistwo jest sportem dość elitarnym. Istnieją wszakże szanse na jego rozpowszechnienie w społeczeństwie. Wiadomo, wszelkie zamiłowania rozbudzać trzeba w dzieciach od najmłodszych lat. Na przykład do muzyki, teatru itp. Zapewne dlatego koła łowieckie współpracują żywo z młodzieżą szkolną, szczególnie wiejską. Przez całą zimę szkolne koła przyjaciół zwierząt zajmują się dokarmianiem głodujących ptaków i zwierząt, nauczyciele rozbudzają w dzieciach miłość do przyrody. A na wiosnę koła łowieckie wręczają przodującym kołom szkolnym nagrody i dyplomy, po czym

wyruszają na łów i zabijają zwierzęta, które dziatwa szkolna tak troskliwie chroniła zimą przed głodową śmiercią. Jest to z pewnością zjawisko wysoce pedagogiczne, kształcące i rozwijające uczucia humanitarysty w młodzieży. Jeszcze wyższym szczeblem tego wychowania jest zatrudnianie dzieci przy naganianiu zwierząt. Mam nadzieję, że tłumaczy się dzieciom przed tym, iż zwierzę takie ma szansę i prawo się bronić.

Ale zapewne dzięki temu dzieci wiejskie nie nudzą się w przeciwnieństwie do dzieci miejskich. Zimą karmią zwierzęta, a latem naganiają je do zabicia. Tymczasem dzieci miejskie nie mają takich rozrywek i muszą się nudzić, co w konsekwencji grozi obniżeniem poziomu higieny społeczeństwa, i tak dziś nie wysokiej. Bo nudząca się młodzież upodobała sobie środki służące zachowaniu czystości. Najpierw był to płyn Tri, który służył do zabijania nudy, więc go wycofano ze sprzedaży. Wtedy młodzież wzięła się za płyn Ixi, który podobno również się nadał. Więc płyn Ixi wycofano ze sprzedaży. Teraz młodzież smaży na patelni Ixi w proszku. Tylko patrzeć jak go nie będzie w sprzedaży.

A ja się pytam co będzie jeśli się okaże, że można się narkotyzować mydłem i pastą do zębów? Więc można organizować dla młodzieży miejskiej polowania na wróble, gołębie, albo psy, ale tylko w kagańcach. Bo inne mogą się odgryźć.

TERESA WOJCIECHOWSKA

spektakle tygodnia

Za okres od 14 do 20, II, 1972 r.

TEATRY	Ilość spektakli	liczba widzów	proc.
WIELKI			
„Uprowadzenie z Seraju”	1	1260	100
„Wieczór baletów polskich”	1	1260	100
„Madame Butterfly”	1	1260	100
„Zemsta nietoperza”	1	1140	91
„Dziwczyna z Zachodu”	1	1000	80
„Henryk VI na Towach”	1	1260	100
NOWY			
„Żołnierz i bohater”	2	1400	100
„Opowieści lasku wiedeńskiego”	3	1680	80
„Janosik”	2	1400	100
MALĄ SALĄ			
„Rodeo”	2	400	100
„Kociol”	1	200	100
„Kaprysty Marlanny”	1	200	100
„Ofiary obowiązku”	2	360	90
POWSZECHNY			
„Perla”	2	1320	100
„Królewskie polowanie na słońce”	1	520	90
JARACZA			
MALĄ SCENĄ			
„Balkon”	2	168	100
7.15			
„Po górach, po chmurach”	7	2996	70
OPERETKA			
„Kaper królewski”	6	5434	82
FILHARMONIA			
koncerty symfoniczne	2	1500	100

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„Ziemia drży”, „Zmysty”, „Rocco i jego bracia”, „Lampart”, „Błędne gwiazdy Wielkiej Niedzieli”, „Zmierzch bogów” — wszystkich tych filmów Luchina Viscontiego tematem głównym, wiódącym, są historie rozkładu i upadku rodzin. W każdym z tych filmów upadek ten jest następstwem innych okoliczności politycznych, społecznych, obyczajowych i taki ma swój sens. Zawsze temat ten pozostaje jednak wyrazem osobistych niepokojów, a nawet obsesji reżysera, zawsze też znajduje on swój nowy, oryginalny artystyczny kształt, mimo stałości pewnych stylizacyjnych upodobań Viscontiego.

Realizowany w 1969 roku „ZMIERZCH BOGÓW” powstał w atmosferze politycznego skandalu, towarzyszył on również premierze filmu, złożyły się na niego sprzeczny nie tylko neofaszystowskich kół w NRP, ale także czynników oficjalnych. Visconti swe wielkie widowisko polityczne jednak realizował, a widowskim politycznym, którego tematem jest nazizm „Zmierzch bogów” nazwać trzeba, choć zarzucano również Viscontiemu, iż zbyt wyeksponował, a nawet zdemoniował w temacie tym historię rodu von Essenbeck w politycznym wywodzie centralnym jest nie rok 1939, lecz dzień podpalenia Reichstagu, wtedy zdecydowały się losy świata. Analizę nazizmu, wiwisekcję sił, które odegrały decydującą rolę w procesie na-

rodzin hitlerysty, przeprowadza Visconti, opowiadając własnie historię upadku dynastii królów stali, von Essenbecków. Faktem niewątpliwym jest pewna demonizacja tej sagi rodzinnej, historii wzajemnego pożerania się, niszczenia poszczególnych członków rodu, a ten rodzaj ekspresji był zawsze wyróżnikiem twórczości Viscontiego. Faktem niewątpliwym jest jednak o to, że cały plan psychologiczno-rodzinny tematu filmu jest oddzieleniem i wynikiem układów historycznych, politycznych, społecznych, moralnych.

W jednym z wywiadów Visconti powiedział: „Zarzucono mi, że w tym filmie nie ma nadziei i ani jednej pozytywnej postaci. To rzeczywiście prawda, ale proszę mnie zrozumieć, nie mogłem pozostawić jakiegokolwiek cienia nadziei, ukazując tę rodzinę potworów, to nie było możliwe. Odznaczałoby to pozostawienie otwartej furtki do takiej konkluzji: — „a jeśli te monstra znowu ożyją?” Nie ma litości dla potworów. A ponieważ film kończy się tam, gdzie zaczyna się historia nazizmu — wiemy iż za dobrze, co potem nastąpiło.” Film Viscontiego to nie tylko dramat historyczny, to film polityczny.

Użyłam dziś już dość niefortunnego określenia — widowisko polityczne, ale „Zmierzch bogów” jest właśnie wielkim widowiskiem, wielką epiką, przy której zwykło się mówić o operowych skłonnościach reżysera. Gdzie ich w „Zmierzchu bogów” szukać będziemy?

Na pewno nie tylko w wielkiej, inscenizacyjnej wystawności dzieła, w jego niezwyklej oprawie scenograficznej, w sposobie operowania kolorem i światłem, nie tylko w wielkich solowych popisach aktorów. Decyduje o niej również dość nietypowa dla filmowej epiki dramaturgia dzieła Viscontiego — jego wielkie zamknięte partie, istniejące dla całego utworu, lecz ważne same w sobie, te, na których twórca przede wszystkim koncentrował swą refleksję. Gdy patrzymy na „Zmierzch bogów” tylko z perspektywy artystycznych tego filmu walorów, nie może nas opuścić pytanie o tajemnicę talentu twórcy, który często tak blisko ociera się o kicz, a tak łatwo przechyla swój utwór na stronę wielkich dzieł sztuki.

* * *

W dorobku twórczym Akira Kurosawy jego ostatni, o nieprzetłumaczalnym tytule, film „DODES-KA-DEN”, nie jest dziełem typowym, jeśli w ogóle o typowości można tu mówić. Kurosawa, artysta walczący i atakujący, mistrz opowieści pełnych wewnętrznego dramatyzmu i napięcia, twórca postaci wyrazistych głównie dzięki bogactwu namiętności, w tym filmie prezentuje szkice, mające charakter smutnych i pełnych liryzmu „bajek dla dorosłych”. Bardzo to współczesne bajki, opowiedziane wprawdzie bez tak charakterystycznej dla Kurosawy namiętności, przejmujące jednak niemniej w

obrazach ludzkiej nędzy, samotności, ludzkiego dobra i zła. Nie tylko rama filmu, którą wypełniają dzielne obrazy, rysowane ręką niedorozwiniętego chłopca, sugeruje skojarzenia z tramwajami. Prawdziwy tramwaj ludzkiej spraw — droższych i wielkich, wyznaczonych nie tylko losem najbardziej nędznych, wyznaczonych losem ludzkim w ogóle, tramwaj, do którego się wsiada i którym się jedzie.

Akcja filmu toczy się wśród slumsów na peryferiach wielkiego miasta, ludzie tam żyjący, to bohaterowie filmu. Kurosawa nie wychodzi poza ten świat, nie pyta o przyczyny takiej egzystencji, poprzestaje na jego opisie, odnajduje wśród swych bohaterów problemy bliższe człowiekowi w wymiarach pozaświatowych i ponadczasowych. Bohaterowie filmu żyją jakby pogodzeni z własnym losem, niekiedy uciekają tylko w marzenia, lecz nie o tę diagnozę Kurosawa chodzi i nie w tym filmie nie świadczy o zgodzie twórcy na istnienie takiej ludzkiej rzeczywistości. Film przemawia bowiem tak wielkim ładunkiem głębokiego humanizmu — miłości do człowieka, zrozumienia dla jego wielkości i małości, tak głębokim bólem i współczuciem, iż one to mają wstrząsnąć nami, w nich zawarta jest postawa moralna i społeczna Kurosawy, jeszcze jedna w jego twórczości — brona człowieka.

EWA NURCZYŃSKA

OBIEKTYW

CZY WYCHOWYWAĆ — ZNACZY KARAC

Program II Telewizji Polskiej staje się coraz bardziej propozycją fakultatywną w stosunku do programu I. Jeszcze wprawdzie znacznie uboższy, dąży już przecież do wypracowania własnego profilu. Nie stroni przy tym przed podejmowaniem trudnej problematyki społecznej, wymagającej namysłu i nie poddającej się prostym receptom.

Tego typu rolę spełnia między innymi ciąg programowy pod nazwą „Twarz w twarz”, którego ostatnią edycję zamierzam dziś omówić. (Telewizja Warszawa; progr. II: „Twarz w twarz — Dlaczego to zrobili?”; scenariusz i prowadzenie — Ewa Cendrowska; zdjęcia filmowe — Tadeusz Zieliński; realizacja — Józef Kunicki; emisja — 23. II. 72).

Punkt wyjścia programu związany był z tragicznymi wydarzeniami, jakie zdarzyły się w jednej ze szkół podstawowych w niewielkim mieście nadgranicznym. Szesnastoletnia uczennica, ostro skarcona przez nauczycielkę, doskoczyła do okna i rzuciła się z drugiego piętra na bruk, doznając złamania nogi i bardzo poważnych obrażeń kręgosłupa.

Badając tę sprawę, reporter telewizyjny trafia na inną, jeszcze tragiczniejszą w skutkach, która zdarzyła się w tejże szkole uprzednio. Uczennica 8 klasy, piętnastoletnia Grażyna Majszczyk, zagrożona pozostawieniem na drugi rok, polyka w klasie arsenik. Dziewczyna nie udaje się uratować, umiera tego samego dnia wieczorem.

Dwa przypadki tak zbliżone zmuszają do głębszego przeanalizowania przyczyn, zastanowienia się, czy nie występują tu jakieś błędy w systemie wychowania. Reporter telewizyjny podejmuje to zadanie. Dlaczego to zrobili? Dlaczego uciekli się do środków tak drastycznych, niewspółmiernych w skutkach w stosunku do przyczyn, na które miały być odpowiedzią?

Przed kamerą filmową pojawiają się rówieśnicy obu bohaterów tragicznych zdarzeń, ich rodzice i nauczyciele — wychowawcy. Młodzież mówi o biciu jako powszechnie przyjętym w ich szkole środku wychowawczym. Nauczyciele zaprzeczają temu, rzecz prosta. Rodzice wahają się z odpowiedzią. Podobno niektórzy z nich sami domagali się od szkoły stosowania kar cielesnych.

Reportaż telewizyjny nie przeprowadza dowodu prawdy. Spreczne oświadczenia stawia obok siebie, nie przesądza, które z nich odpowiadają faktycznemu stanowi rzeczy. A przecież zarysowuje się wyraźnie sytuacja brutalnego i bezdusznego traktowania dzieci w tej szkole (czy tylko w tej jednej?). Kara — cielesna, czy niecielesna — wyraża tu do podstawowego, a może nawet jedynego środka wychowawczego.

To nawet nie sprawa złej woli, ale niewiedzenie przez pedagogów innych środków działania, opanowanie wrażliwości na dziecięcy strach, samoobronę i poczucie sprawiedliwości. Skoro każda zła ocena, każdy błąd czy potknięcie dziecka zagrożone było z dwóch stron karą, skoro karała bezwzględnie i szkoła i dom, nie dziwnego, że między wychowawcami i wychowanymi zanikł wszelki kontakt, wyrastała prze paść.

Czy dziwić się należy, że na tytułowe pytanie programu: dlaczego to zrobili? — nikt z nauczycieli nie umiał dać odpowiedzi? A pytania tego nie wolno pozostawić bez odpowiedzi. Świadczy ono o tym, że podstawowa więź zaufania między dziećmi i ich wychowawcami uległa jeżeli nie zerwanu, to poważnemu nadwężeniu. To właśnie stwarza warunki do przypadków tak tragicznych, jak opisane wyżej.

Trzeba przyznać, że program telewizyjny Ewy Cendrowskiej przeprowadzony został z dużym taktem. Nie ferowano w nim wyroków, ani nie przesądzano o stopniu winy. Autorce chodziło o głębsze tło sprawy, o pretekst do rozważań nad naszym systemem wychowawczym w ogóle. Do dyskusji nad tym autorka zaprosiła grono wybitnych pedagogów.

A konkluzja dyskusji? Kara nie może być jedynym środkiem wychowawczym, a już kara cielesna nie jest nim w ogóle.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

FAJKA NA PRZESTRZENI WIEKÓW

I kto by przypuszczał, że fajka znana była już w czasach archeologicznych? Otóż naukowcy znaleźli żelazne fajki z czasów prehistorycznych, wśród wykopalisk na terenie Szwajcarii. Do czego one mogły służyć, skoro nie znano tytoniu? Najprawdopodobniej w fajkach tych ludzie palili ziola dla celów leczniczych. Dym wdychano ustami lub nosem. Był to więc rodzaj inhalacji. Starożytni Celtowie, jak o tym świadczą archeologiczne wykopaliska na terenie Francji, także używali fajki, ale nie do celów leczniczych. Palono w nich konopie, które działało odurzająco. Narkotyzowano się więc paleniem fajek przy różnych obrzędach o charakterze religijnym. Podobnie w Meksyku palono fajki zawierające dymem z pewnej odmiany grzybków.

Rozpowszechnianie się fajki następuje w czasach nowożytnych wraz z rozprzestrzenieniem się tytoniu. Fajka przybiera naj-

rozmaitsze kształty, nawet węża, czasem rzeźbiona jest kunsztownie, niejednokrotnie jest to prawdziwe dzieło sztuki. Z czego są fajki? Najczęściej z drewna, ale spotyka się fajki z porcelany, gliny, żelaza, z tzw. morskiej pianki. Równocześnie ze spopularyzowaniem się fajki pojawiają się, nieraz ozdobiennie wykonane, przybory do jej czyszczenia, ubijania tytoniu, przepychania cybucha. Takie komplety spotyka się czasem ułożone wraz z fajką w kunsztownie rzeźbionych pudełeczkach. Obok tego wytwarzane są najprzeróżniejsze i nieraz oryginalnej formie kapciuchy do tytoniu.

Przegląd fajek na przestrzeni wieków mogą obejrzeć Paryżanie na specjalnej wystawie. Ekspozycje pochodzą wyłącznie ze zbiorów prywatnych. Niektóre fajki przechowywane były w rodzinie przez kilka pokoleń. Na tejże wystawie znalazła się także fajka, przedmiot dość makabryczny, gdyż wykonana została z ludzkiej kości. Pochodzi ona z Mardizów, grupy wysp w Polinezji.



Kapciuch do tytoniu. Wykonany w Neapolu w XIX w. i fajka z Afganistanu z XVII w.

POTOMKOWIE BEETHOVENA W SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNEJ?

Wszyscy biografowie Ludwika van Beethovena wiedzą doskonale, że genialnego kompozytora łącząły miłosne więzy z Teresą Brunswick. Była



Teresa Brunswick i Ludwik van Beethoven

jego młodszą uczennicą. Spotkał ją później podczas swego pobytu na Węgrzech gdy miał lat 36 i był już na wpół głuchy. Zakochany w przepięknej Teresie komponuje dla niej m. in. sonatę „Appassionata”, wyraża swą miłość w operze pt. „Fidelio”.

Ostatnio budapeszteński muzykolog pani Györgi

„ODKRYCIE POLINEZJI”

Grupa wysp pochodzenia wulkanicznego i koralicznego w środkowej części Oceanu Spokojnego — to Polinezja. Głównymi jej archipelagami są Hawaje, Samoa i Tokelau. Dwie wyprawy żeglarskie odsłoniły światu wiedzę o ludach zamieszkujących wyspy. W latach 1766—1769 Francuz L. A. de Bougainville, a w latach 1768—1780 Anglik James Cook przebywali na Polinezji badając ją i zapoznając się z cywilizacją tamtejszej ludności. Były to dwie ostatnie wyprawy morskie z cyklu romantycznych i równocześnie dwie pierwsze w historii odkryć mające charakter naukowy.

Safran, która od wielu lat bada dzieje pobytu genialnego kompozytora na ziemi węgierskiej, twierdzi, że Teresa Brunswick w roku 1809 urodziła syna — owoc jej miłości z Beethovenem. Dziecko, według zdania Safran, zostało niemal natychmiast po porodzie oddane pewnej bezdzietnej rodzinie o nazwisku Toth. Byli to bezrolni chłopcy, którzy wraz z dzieckiem arystokratki otrzymali ziemię jako wynagrodzenie. Potomkowie owego syna Teresy i van Beethovena żyją do dziś w węgierskiej wiosce Diosd, nazywają się Toth i pracują w miejscowej

cznego, miały charakter użytkowy lub sakralny. Są to figurki przedstawiające ludzkie postacie, zdobione narzędziami do pracy lub połowów czy połowów ryb, maczugami lub siekierami. Pięć rzeźbił także dziobry swych łodzi. Materiałem było drewno, kości zwierząt, żab kasałota, kamienie. Polinezyjczyki, co warto jest podkreślić, nie znali zupełnie metali, nie ma więc wśród eksponatów żadnej ozdoby czy przedmiotu metalowego. Tworzyli cywilizację, która nie stykała się z innymi toteż wytworzyli własną. Zнали tkactwo choć prymitywne — z lyka. Zdumiewające jednak, że ich prymitywne tkaniny są tak pięknie barwione we wzory, najczęściej roślinne. Język Polinezyjczyków był prymitywny, nie posiadał określeń na pojęcia ogólne, toteż dzieła plastyczne uzupełniały go częstokroć przez wizerunki mające znaczenie symboliczne. Poszczególne archipelagi lub nawet wyspy miały swoją własną, specyficzną sztukę. I tak na przykład Wyspa Wielkanocna znana jest z tego, że znajdują się tam ogromne posągi



Siatuetka sakralna z wysp hawajskich

z kamienia, na niektórych wyspach Polinezyjczyki przedstawiając ludzką postać, eksponowali głównie głowę, wyobryzmując ją niepomierne.

Bogate i ciekawe materiały przywieźli ze swych wypraw Bougainville i Cook. Byli to ludzie, którzy charakterami różnili się krańcowo. Bougainville lubił kobiety, rozrywki, był nieładnym smakoszem. Kapitan Cook zaś — to świetny marynarz, natura chłodna, trochę filozof, trochę matematyk, doskonały obserwator i znawca morza. Bougainville został oczarowany Polinezją. Tahiti nazwał snem o raju na ziemi, w którym żyje „dobry dzięk”. Od niego to pojęcie o „dobrym dzięk”, poczciwcu, który żyje sielankowo wśród przyjaźnej przyrody zapomniał na jakiś czas w literaturze pięknej i przeniknęło do filozofii. Cook zaś napisał rzeczowe sprawozdanie o Polinezji biorąc pod uwagę realia geograficzne i warunki życia na wyspie.



Rzeźbiona maczuga (drewno)

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”:

- ◆ A. MAKOWIECKI — Szukam hrabiego
- ◆ Z. LORENTZ — Sprawdzili
- ◆ J. URBANKIEWICZ — Krótki odech krótkiego metrażu
- oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna



LAURKA DLA KOREKTY

AMPUTACJA FELIETONU — HISTORIA BŁĘDÓW — NAGROBEK KOREKTORA — WSPOMNIENIA SŁONIMSKIEGO — UWAGA ZART! — CO ROBIŁI NA PERONIE? — KOREKTA DOTRZYMUJE KROKU

Przedostatni felieton pt. „Naga dziewczyna czy naga prawda” amputowano mi na skutek wzruszającej inwencji (lub jej braku) naszej korekty. Felieton amputowano o jedno zaledwie słowo, ale to było słowo ostatnie, ostatniego zdania pointy. W ten prosty sposób to wszystko, co napisałem na trzech stronach maszynopisu zakończyło się głupio i bez sensu.

Napisałem bowiem, że w książce Marka Gronickiego znaleźliśmy sporo nagich prawd, można więc właściwie powiedzieć, że jest to publikacja „sexy”. W druku wyszło to tak, że

książka jest publikacją. I kropka. Nie ma co — szalenie odkrywczą konkluzja.

W pierwszej chwili wzięła mnie złość, ale przypomniałem sobie, że historia korektorskich błędów jest tak stara, jak piśmiennictwo, więc właściwie nie ma o co się denerwować. To przecież w jednej z pierwszych biblii, drukowanych po polsku, znalazło się zdanie: „kto nie posłucha Pana baran będzie...” Miałoby być, oczywiście, „karan będzie”, ale w ten sposób średnio-wieczny korektor wpisał się na listę pomyłek drukarskich, rozpoczynając do

dział kontynuowany gatunek niezamierzony humoru.

Nie więc dziwnego, że autorzy nie pozostali korektorem dłużni. Oto wierszyk Juliana Tuwima „Nagrobek korektora”:

Tu leży Piotr korektor, grzeszne miał popędy błędził, grzeszył, pił, hulał, aż skonał na bruku. Przepuść mu Panie Jego pomyłki i błędy, jak on przepuszczał błędy i pomyłki w druku”.

Ale korektorzy epitaflum przeczytali i dalej robili swoje. Oto fragment wspomnień na ten temat Antoniego Słonimskiego: „Duża zabawa była, pamiętam, kiedy czcigodny „Kurier Warszawski” wspomnienie pośmiertne o jakiejś popularnej mecenasowej rozpoczął patetycznym oświadczeniem — „Któż z nas nie miał mecenasowej Ślupiańskiej?” Oczywiście miało być: „Któż z nas nie znał...”

„Przykry jest brak korekty — dowodzi Słonimski — ale czasem gorszy jest korektor pedantyczny i surowy. Kiedyś pisząc

o Kadenie, który wtedy propagował namiętne założenie Akademii Literatury, pozwoliłem sobie na żarcik, pisząc: „Kaden, ten wieczny kandydat do akademii”. Korektor poprawił mi starannie na „Kaden ten wieczny kandydat do Akademii”. Poprawilem znów, dodając na marginesie: „Uwaga! Zart! Kalambur!” Gdy numer „Wiadomości Literackich” ukazał się, przeczytałem to zdanie w takim pełnym tekście: „Kaden, ten wieczny kandydat do akademii. Uwaga: Zart! Kalambur!”

„Bywają błędy koszarne — ciągnie dalej Słonimski — tragiczne w skutkach i piekielnie śmieszne, jak ten drobny błąd, który podobno zwiechnął karierę młodego, zdolnego dziennikarza w dawnych czasach cesarskiej Galicji. W opisie przyjazdu cesarza Franciszka Józefa do jakiegoś większego prowincjonalnego garnizonu, znalazło się następujące zdanie: „Gdy pociąg wiozący Najjaśniej-

szego Pana wjechał na stację, na peronie s.s. (1) w przepiślowych pozycjach dowódca garnizonu, naczelnik stacji, jego żona i wszyscy radni miejscy”. Żeby była sprawiedliwość na świecie, Słonimskiego, który tyle sobie z korektorów żartował, ostatnio też spotkała zabawna historia. Oto napisał: „Najmniej mi się podobała pisarza pozabawieni instynktu społecznego”. Wszystko jasne. Nie dla korektora. W druku ukazało się „...instytutu społecznego”.

Ale to wszystko drobiazg wobec klasycznego już trzypiętrowego błędu. Ze zdania „Postulat estetycznego romantyzmu” zrobiono „...Pistolet elastycznego reumatyzmu”.

Czy zatem mam prawo lrytować się na korekcie wobec takiej pięknej korekty pomyłek w historii piśmiennictwa? Mogę tylko być dumny, że i w dziedzinie błędów i wypażeń korekta „Odgłosów” dotrzymuje kroku Historii.

JERZY WIDOK

OD REDAKCJI:

Figte korektorskie mają wieloletnie tradycje, niemniej zdarzają się potknięcia i pracownikom zecerom. Tak właśnie zdarzyło się w przypadku dwu ostatnich błędów w „Odgłosach”.

Bez strachu

Futrzana czapka

Przed wielu, wielu laty, kiedy jeszcze nikt prawie, nawet zima, nie nosił futrzanych czapek, kupiłem sobie taką czapkę. Leżała samotnie na wystawie pośrodku platów tkaniny, wystawiona na dziwo, na ozdoby raczej niż na sprzedaż. Szedłem właśnie z ówczesnym Prezesem naszego Związku i uproszony Prezes wszedł ze mną do sklepu, by mi udzielić moralnego poparcia w dziele zakupu tak osobliwego. Miałem już czapkę w ręku i wołałem, że ją kupię, gdy podbiegła jakaś pani, krzyknęła, że to ona bierze czapkę i ucapiała ją z drugiej strony. Tak miły mi się wzrokiem, oboje trzymając czapkę. Rzecz przeżył Prezes, który spojrzał na konkurentkę wzrokiem, w którym wyczuła bezwzględnie moralną przewagę spadkobiercy Mickiewicza i Norwida, suwerena Związku Literatów, Oplekuna Klubu Młodych Piszących i Przewodniczącego Komisji Sympendycznej. Ujarmiona wzrokiem Mocarza, kobieta ustąpiła i wyszedłem ze sklepu w czapce na głowie. „Ach, jaka piękna czapka” — wołali koledzy, „można zakochać się w twojej czapce” — szeptały koleżanki. Minęło niewiele miesięcy i czapka mi obrzydła. Po wieczorach autorskich pypytywano mnie nie o odczytane własnie wiersze, lecz o czapkę. Nie — „jak pan stworzył ten sonet?”, ale — „ile pan za nią zapłacił?”, nie — „gdzie pan napisał ten poemat?”, ale — „gdzie pan ją kupił?”. Mijały miesiące i czapka była nie tylko na mojej głowie, ale nade mną. Dostrzegano nie mnie, ale moją czapkę. To nie mnie się kłaniało, ale mojej czapce. Mijały miesiące i lata, oto pojawiły się inne, godniejsze, bogatsze czapki. Moja czapka brzydła, powszedniała, powoli osiadałem nad nią przewagę... O jak niezapomniana była słodycz chwili, kiedy powiedziano mi po raz pierwszy: „Dlaczego pan nosi taką brzydką, niemodną czapkę?” Nosiłem ją uparcie, zgrozmiłały małością czapki, upięknioty jej szpetotą. Nie przezwyciężalem już nic złego, kiedy nagle zaskoczono mnie jadowicie. „Pan ma niepospolite nakrycie głowy!”. „Nie widać teraz takich czapek?”. „Panna czapka to rzecz rzadka, osobliwa, godna!”. Czapka eksplodowała drugą młodością. Majorzowała mnie jak nigdy, chodząc pod nią drobny, szpetny, pomarszczony. Już od dawna wiem, że czapka istnieje własnym, niedoścignionym życiem. Czapka pulsuje nade mną, maleje i ogromnieje. Wiosnę jej staje się na przemian złoście i płowie. Trzymam niekiedy czapkę w ręku i patrzę na nią w milczeniu, daremnie pragnąc pojąć jej istotną stałą naturę, bowiem naturą tą jest bezgraniczna zmienność.

BERNARD SZTAJNERT



JAK PORWAĆ PREZYDENTA?

Jedno trzeba przyznać Jackowi: to nie jest typ, który mógłby zajmować się bagatelkami. A jeżeli projektuje skok, to na pewno wielki, co ja mówię, największy.

Siedzieliśmy sobie na ławce oparcia plecami o mur, żeby jakoś zabić czas, gdy nagle Jack zapytał:

— Słuchaj, Richard, czy byłeś kiedy w Montevideo?

— Być może. A co to jest, nocny lokal?

— Ach, ty głupcze! Montevideo to stolica państwa Urugwaju, kraju leżącego w Południowej Ameryce. To jest wielkie, nowoczesne miasto, leży nad rzeką Rio de La Plata, w pobliżu Oceanu Atlantyckiego.

— Skąd o tym wiesz?

— Byłem tam w czasie wojny.

Czekam dalej, nie wiedząc co mówić.

Jack to mężczyzna starszawy. A nawet jest dość stary. Tłumaczy mi teraz, że wojna, o której wspominał, to nie koreańska, ani wietnamska, lecz druga wojna światowa. A ja, proszę państwa, jeszcze się wówczas nie urodziłem.

— Przyszło mi to na myśl — ciągnął Jack dalej — ponieważ dziś rano czytałem w gazecie, że za tydzień prezydent Stanów Zjednoczonych poleci tam samolotem. To jest podróż dyplomatyczna, chce złożyć wizytę prezydentowi Urugwaju. Jak się dowiedziałem, nasz prezydent pojedzie samolotem Ura-Airline, rozumiesz?

— Tak. No i co z tego?

— Co? Chłopce kochani, możemy urządzić skok największy w historii: uprowadzić prezydenta Stanów Zjednoczonych!

— Powiedz-no, Jack, czyś ty zwiariował?

— Podkaszylem pod wpływem doznanej szoku. Boże, ten pomysł jest tak niezwykły, że nie mogę pojąć, jak mu wpadło do głowy. Po chwili wykrztusiłem:

— Jack, czy wyobrażasz sobie tę potęgę FBI i Intelligence Service oraz innych agentów, którzy dzień i noc pilnują prezydenta Stanów Zjednoczonych? Trzeba by całej armii tysiąca ludzi, żeby spróbować takiego uderzenia. I nawet to by nie pomogło, założę się.

Jack westchnął i spojrzał na mnie z politowaniem.

— Myślisz się, synku. Według mojego planu wystarczy nam czterech ludzi. Im mniej, tym lepiej. A więc potrzebny nam muskularny chłop i tu właśnie ty wchodzisz do spółki. Następnie potrzebny człowiek, który zna się na aparatach radiowych, a ja w czasie służby wojskowej byłem przydzielony do radia. Dalej potrzebny jest chłopak zręczny do wszystkiego, ale musi być naprawdę sprytny i z głową na karku. Tak, jak nasz Frank Dawson, wiesz, ten, co kombinuje te wspaniałe kanty, udając, że trudni się ratulną sprzedażą.

— Nie mam zaufania do Franka — wtrąciłem.

— Ależ tak, Frank pasuje tu znakomicie, jeżeli tylko nam się uda przypliniwać, żeby nie pił. Oto dlaczego potrzebny jest czwarty, mężczyzna poważny, bez skłonności do fantazjowania, czyli ktoś, kto miałby na oku naszego Franka. Żeby można mu było całkowicie zaufać. Wiesz, o kim pomyślałem? o Twoim kuzynie Lenny. Jak myślisz, czy nas nie zawładzie?

— Na pewno nie. Ale zostaw to gadanie, w głowie mi się kręci.

— Dlaczego?

— To wszystko jest zbyt ryzykowne! Nie wyjdziemy z tego cało, zamkną nas do końca życia!

— Braciszku, nie bój się! Największe skoki są zwykle najłatwiejsze. Po prostu dlatego, że nikt ich nie przewiduje. Czy komu by się przyśniło, że prezydent może być uprowadzony? Na pewno nie! Jeżeli się nad tym dobrze zastanowisz, to sam zrozumiesz, że łatwiej jest opróżnić mennicę, niż obrabować bank, co ma trochę tego grosza.

— Idź-że, idź-że! Czy wiesz, jak my, mogą wydać bitwę federalnym i straży bezpieczeństwa tego tam kraju Uru... — jak-on-się-tam-nazywa?

— Synku — wyjaśni cierpliwie Jack. — Najpierw musisz ci powiedzieć, że to wszystko obejście się bez jednego strażnika.

— Jak to możliwe?

— Właśnie dlatego, że nasz plan jest z tych, o których nikt jeszcze nie słyszał. Rozumie się, że wydamy worek pieniędzy, aby sfinalizować tę operację, ale suma uzyskana ze skoku przekroczy okragłątki milion dolarów w gotówce.

— To niemożliwe.

— Braciszku, powtarzam ci jeszcze raz, że zupełnie możliwe.

Nawet mu nie odpowiadałem. Na samą myśl o projekcie trzęsę się ze strachu. Wszystkie, co dotąd robiliśmy to były drobne rzeczy: okradłem jakiś kiosk, siałem portfel pijawki, wyrwałem torebkę samotnej kobiecie.

— Halo, braciszku! — zawołał Jack. — Czy śpisz?

— Ach, żebym mógł! Nie podobają mi się twoje szalone pomysły. Nawet przypuściłem, że wszystko się uda, powiedz mi, Jack, gdzie możesz ukryć prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Jack westchnął znów.

— Synku, pozostaniesz na zawsze złodziejaskiem za cztery grosze, ponieważ jesteś ograniczony i brak ci szerszego oddechu. Słuchaj więc: prezydent nawet nie zauważy, że został porwany!

— No, no, Jack! Zostaw mnie już w spokoju.

— Synku, nie ma rzeczy niemożliwych w naszej atomowej epoce. Są rzeczy jeszcze nie dokonane dlatego tylko, że nikomu nie przyszły do głowy. Za dwa lub trzy dni polećmy obaj samolotem na jedną z wysp Indii Zachodnich, na przykład Bahama. Udamy się tam pod fałszywymi nazwiskami, a wrócimy z naszymi prawdziwymi. To jest szczegół, który musisz jeszcze rozpracować. Być może ufarbujemy sobie skórę, żebyśmy wyglądali jak tubylcy.

— Głowa mnie rozboleła — jęknąłem.

— Powiem ci coś ważnego: odrzutowiec, żeby przebyć drogę z Waszyngtonu do Urugwaju, zużywa siedem i pół godziny. Tyle mniej więcej czasu będziemy mieli do dyspozycji, żeby wykonać nasz skok.

A teraz co zrobimy dalej... Ty i ja musimy być na lotnisku w Waszyngtonie. Jack ci już powiedziałem, prezydent leci samolotem Ura-Airline, to jest nowa linia, dopiero co otwarta. Jedynym prawdziwym ryzykiem jest dostanie się na pokład tego odrzutowca. Tam potrzebna jest znajomość języka hiszpańskiego. Ale ja kiedyś nieźle dawałem sobie radę z hablarz hiszpański. Jak się zaraz przyłożył, to za kilka dni wszystko sobie przypomnę. A ty... hm... ty musisz trzymać głowę zamkniętą.

— I co jeszcze wymyśliłeś?

— Każemy zrobić sobie uniformy towarzystwa Ura-Airline i wejdziemy do samolotu spo-

kojnie, z obojętną miną. Popadniemy, że zostaliśmy przydzieleni jako personel rezerwowi.

— A jak to sprawdzają?

— Główna rzecz, żeby zjawić się w ostatniej chwili, gdy nie będzie już czasu dla skontrolowania w urzędzie portowym. Chyba nie opóźnią lotu prezydenta, jak myślisz?

— Ja już nie nie myślę możeś bredzić, ile ci się podoba — mruknąłem.

— Najważniejsze, żebyśmy się znaleźli w tym odrzutowcu. Teraz, powiedzmy, że samolot startuje o... 9 rano. Idziemy obaj do kabiny pilota. Znam się dość dobrze na aparatach radiowych i mogę naregulować urządzenia tak, że można otrzymywać wiadomości, ale nie można ich nadawać.

— A co ja mam robić według twojego planu?

— Ty, panie Muskulo, masz takie zadanie: trzymać pod kontrolą pilota pierwszego i drugiego, mechanika lotnicze-

— Co, wzięliśmy jeszcze CIA do tej sprawy?

— Trudno, muszę tak zrobić.

Bo przy naszej biurokracji trzeba by wiele dni czekać, żeby Biały Dom zdecydował się zapłacić okup. Lecz CIA ma zawsze pod ręką worki pieniędzy, same kawałki po tysiąc dolarów, które wycaje swoim agentom, jak trzeba, bezwzględnie.

A więc Frankie oznajmiał tym panom, że prezydent został uprowadzony. Ostrzeżenie ich tak-że, aby nie ośmielili się go dotknąć, bo mogą już nigdy nie zobaczyć twarzy prezydenta. To wszystko bluff, ale zapewniam cię, że zadziała dobrze.

O 10 w CIA wiedzą już, że samolot stracił łączność. Teraz mogliby wysłać nad Atlantyk samoloty wywiadowcze z naszych baz na Karaibach, ale tego nie robią, później ci wyjaśnię dlaczego. Uważasz, co mówię, synku?

przylecą do nas na wyspę Bahama.

— I podzielimy się milionem dolarów.

— No tak. Lecz sprzedam cię, gdy zaczniemy wydawać pieniądze, musimy to robić powolutku. Nie wiem jeszcze co będzie dalej, czy zamieszkamy w Meksyku jako spokojni turyści, czy coś w tym rodzaju.

— Zapomniałeś o nas dwojgu w samolocie. Ciekawy jestem, jaki pluton egzekucyjny zobaczymy przed sobą, amerykański, czy może meksykański?

— Przeszłaś udawać mądra! — wrzasnął Jack. — Jeżeli chodzi o nas, to w samolocie są zawsze spadochrony. Zobowiązujemy pilota, żeby zniżył lot do 600 metrów, gdy tylko pokaże się Południowa Ameryka. W odpowiednim momencie skaczący ze spadochronem.

— Co? Ja mam skakać z samolotu? Nigdy!

— A co byś chciał zrobić, synku? Nie bój się! Lądujemy na wyspie Bahama i czekamy tam, dopóki Frank nie przyjedzie do nas. Odrzutowcowi pozostały jeszcze trzy godziny do lądowania, lecz nie mogą alarmować z pokładu, bo radio nie działa. Jeżeli w ogóle zechcą ogłosić alarm.

— Jak to... jeżeli? Chcesz mi wmówić, że porwamy prezydenta Stanów Zjednoczonych i nikt się tym nie przejmie?

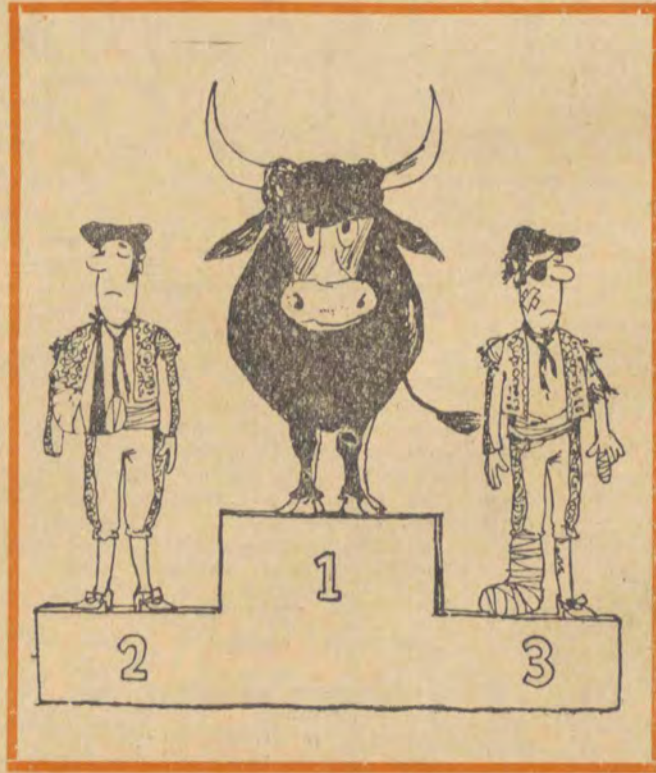
— Właśnie tak, niedoradco! Z tej samej przyczyny nie potrzebujemy się obawiać, że polecą samoloty wywiadowcze. Po pierwsze — milion dolarów w Waszyngtonie nie robi na nikim wrażenia. Po drugie — mamy do czynienia z dwoma rządami, amerykańskim i urugwajskim, a wiadomo, nim rządy podejmą jakąś decyzję, upłynie sporo czasu. Dlatego gdy zobaczą, że prezydent wyładował zdrowy i cały, oba rządy pogadają z sobą i dojdą do wniosku, że nie warto robić tyle hałasu o nic. Urugwaj za-inwestował miliony w nową linię powietrzną i nie zechce znieść reklamy. No i CIA będzie chciała uniknąć kompromitacji. Z tego wynika, że cała sprawa szybko ucihnie.

Jack zamyślił się. Nagle krzyknął: — Chłopcy, nawet wolałbym, żeby nie uciechał! Przynajmniej świat by się dowiedział, że uczyniliśmy skok największy ze wszystkich! Przeszlibyśmy do historii jako... —

Pukając łaską w żelazne sztaby celi, strażnik więzienny warknął ze złością:

— Hej, wy tam! Jeżeli się nie uspokojicie, przyjdę do was i spróbuję mojej palki! Jesteście zawsze, wy śmierzące pianicą za cztery grosze, ty, co najwięcej ze wszystkich hałasują i rozrabiają w więzieniu!

A. S.



go, oficera kursowego i radiooperatora. Poza tym musisz uważać, żeby drzwi kabiny były zamknięte. Ale niech żadnemu z nich włos z głowy nie spadnie, ograniczysz się tylko do grózb.

O godzinie 10 samolot będzie nad Atlantykem, daleko od terytorium Stanów Zjednoczonych. Stracił kontakt ze światem, ponieważ nikt nie wie dokładnie, gdzie się znajduje.

Tymczasem o 9.45 nasz Frankie znajdzie się w Centralnej Agencji Wywiadowczej, wiesz, CIA, w pobliżu Waszyngtonu. No i Frankie...

— Uważam.

— Dobrze. Frankie zażąda miliona dolarów. Będę musiał z nim omówić wszystkie szczegóły tej wizyty w CIA. Najważniejsze, żeby najpóźniej o 11 miał w kieszeni nasz łup, co mu da pięć godzin przewagi, żeby mógł uciec i skryć się. Frank świetnie potrafi maskować się i możemy coś razem obmyślić. Najlepiej coś prostego, na przykład on i twój kuzyn Lenny mogliby znaleźć pracę w stanie Wirginia jako robotnicy, na kilka dni przed uprowadzeniem prezydenta. Potem wrócą bezzwłocznie do pracy i później

w wielkiej kulturalnej imprezie. Sygnalizujemy natomiast, żeśmy od Stolicy nie gorsi, że striptis będziemy mieć także w naszej „Europie” i nie tylko tam, że zamierza się również dokonać naboru odpowiednich kadr drogą otwartego konkursu. Już ponoć nawet w wielu łódzkich domach uzdolnione artystycznie dziewczęta przystąpiły do gruntownego mycia nóg. Będzie czym zapętnić szpalty pism, może nawet ilustrowanych.

O krakowskiej dyskusji w sprawie sztuki i seksu przeczytaliśmy zarówno felieton Kozickiego w „Kulturze”, jak i Bywalca w „Polityce”. Obydwa są prawie identyczne, co świadczy o tym, że Polacy nie zawsze mają z zasady odmienne zdania o wszystkim. Obydwa felietony kończą się wzmianką o barze, w którym spotkali się autorzy, nie czekając na podsumowanie narady. W obydwóch te same momenty dyskusji skwitowano takim samym, dowcipnym — dowcip w felietonie być musi — komentarzem. Być może więc, że zastąpienie ostatniej fazy dyskusji dwoma koniakami stanie się wziętym obyczajem dziennikarskim, a co najmniej felietonistycznym. Te rzeczy musimy czujnie śledzić i nie zostawać w tyle za Stolicą.

Luminarze naszego dziennikarstwa nie obrażą się, mam nadzieję, jeśli powiemy, że ogromne rozdumuchanie tamtych spraw przez całą prasę było po prostu działaniem pod publiczkę, pod pikantny smaczek. Nie nie szkodzi, co tam. Szkodzić może natomiast fakt, że całe obszerne rejonowe działalności gospodarczej pozostają poza zainteresowaniem prasy, a tym samym poza opinią i krytyką publiczną. Oto dla przykładu przeczytałem już pięć długich artykułów w różnych pismach, dotyczących znanych i popularnych Radomskich Zakładów Przemysłu Skórzanego „Radoskór”. Zakłady te — jak się okazuje — zorganizowały konferencję prasową, nie wiem czy z własnej inicjatywy, czy z czyjśgo podszeptu. Produkuje się tam obuwie,

a więc artykuł pierwszej potrzeby, interesujący wszystkich. O takich wyrobach pisze się bardzo dużo i często, ich producenci nie mają spokojnego dnia ani godziny, są nieustannie pod silnym ostrzałem opinii, krytykowani, ganieni, pouczeni. To bardzo dobrze, to wszystko dzieje się w interesie konsumentów, a więc nas wszystkich.

We wszystkich pięciu artykułach o „Radoskórze” mówi się krytycznie — o obuwu, że sztywne, ciężkie niewygodne. Przytacza się przy tym nieśmiało wyjaśnienia wytwórców, a to że skóry nie takie, a to klej, a to jeszcze co innego. Słowem — kooperanci nie na poziomie. „Ale to nie interesuje konsumentów” — pisze dziennikarz i ma świętą rację. Konsumentów nie interesuje. Czy jednak nie szkoda, że nie interesuje dziennikarzy? Że kooperanci żyją sobie jak u Pana Boga za piecem? Rzeczą obuwnika jest wojować z kooperantami, ale prasa mogłaby mu w tej wojnie wiele pomóc, gdyby chciała się zaangażować. Czy czytaliście kiedy reportaży z fabryki oczek? Wywiad z dyrektorem, któremu zarzuca się, że oczka różnią się o setne części milimetra w średnicy, a to już przy precyzyjnym mechanicznym nabijaniu w cholewkę stanowić może całą kłeskę? Czy dyrektor fabryki końcówek do sznurowadeł musiał kiedykolwiek wbiec się w krzyżowym ogniu zarzutów na prasowej konferencji?

Prosimy o penetrację nie tylko pierwszej linii, zaplecze jest ogromnie ważne, choć o ileż mniej efektowne. Poruszcie, panowie redaktorzy, producentów, od których zależy mostowość, a których nikt na estradę nie wyciąga. To naprawdę ważna sprawa! Prawie tak ważna, jak pytanie smarkacza podczas dyskusji o seksie i sztuce, ile razy powinien mężczyzna, żeby się nie skompromitować. Które to pytanie powtórzyleś ze smakiem dwa najpoważniejsze tygodniki.

CWIEK



Lewym okiem

SEKS I SZNUROWADŁA

Mieliśmy więc dwa wydarzenia kulturalne dużej miary, którym prasa tygodniowa — nie jakieś tam rewolwerówki, ekspresjaki, masówki, tylko takie poważne tygodniki, jak „Kultura” i „Polityka” i inne — poświęciły szniste, wielospaltowe artykuły: konkurs striptiserek w Warszawie i krakowską wystawę fotografii gołych babek, połączoną z dyskusją pod tytułem „Sztuka i seks”.

O tym, że w paru nocnych lokalach Warszawy zdecydowano zorganizować występy rozbiegankowe, doniosła warszawska prasa, ogłaszając że chętnie do tej pracy panienki zostaną zaangażowane drogą konkursu, zapowiedzianego na określony dzień w lokalu restauracji „Kongresowej”, w Pałacu Kultury i Nauki. W tymże bowiem Pałacu będą się odbywać conočne obnażenia. Nie będziemy już powtarzać po tylu innych pismach, jakie tłumy kandydatek szturmowały „Kongresową” jakich sztuczek dokonywali dziennikarze, żeby dostać się na eliminacje i zapewnić szerokim rzeszom czytelniczym przynajmniej taki pośredni rzec-